

ROZDZIAŁ VIII

23 grudnia 2005

Nie lubię tego dnia i nie lubi go też Niunia. Ale pisząc akurat w grudniu kolejny rozdział wspomnień, nie mogę pominąć dnia 23 grudnia, tak jak nie mogłem pominąć dnia 13 grudnia, ze względu na 24-ą rocznicę wydarzeń, które wstrząsnęły moim, Niuni i Ewy życiem. W dniu tym bowiem zwróciłem się w ambasadzie USA w Tokio z prośbą o azyl polityczny dla naszej trójki.

Kulminacyjnym momentem procesu ucieczki, który z różnym nasileniem trwał prawie tydzień, było przybycie naszej trójki do ambasady USA. Stało się to w środę 23 grudnia 1981 r., tuż przed godziną 13:00 czasu tokijskiego (22:00 czasu warszawskiego i 23:00 czasu waszyngtońskiego, ale jeszcze we wtorek 22 grudnia).

Przed bramą ambasady USA ze szlabanem zjawiliśmy się w prowadzonym przeze mnie czarnym służbowym Mercedesie, ale bez powiewającej na jego masce biało-czerwonej chorągiewki. Dyżurujący w budce u bramy amerykański Marine, czyli piechur morski, widząc jednakże na białej tablicy rejestracyjnej cyfry „01”, oznaczające wóz ambasadora, podniósł natychmiast szlaban. Powoli zajechaliśmy przed główne wejście do ambasady. Wsiadając, powiedziałem do Niuni i Ewy:

- Skaczemy do basenu, a nawet nie wiemy, czy jest w nim woda...

W tym momencie, z oszklonych drzwi obrotowych budynku ambasady wyszedł Mr. Frank M. Fulgham, znany mi jeden z radców ambasady amerykańskiej, witając nas serdecznie.

- Proszę Rząd USA o udzielenie mnie, żonie i córce azylu politycznego - wyrecytowałem na jego widok.

Mr. Fulgham skinął twierdząco głową, choć nie do niego należało udzielanie azylu politycznego, ale do Ambasadora USA, do którego poprowadził naszą trójkę. Wsiedliśmy do windy i za chwilę znaleźliśmy się w gabinecie Ambasadora Michaela J. Mansfielda, znanego mi już od miesięcy. Ambasador Mansfield powitał nas i posadził w głębokich skórzanych fotelach wokół stolika cocktailowego, pytając jednocześnie, czy nie mamy jakichś szczególnych życzeń.

Powtórzyłem mu więc jeszcze raz złożoną Fulghamowi prośbę o azyl polityczny w USA, co Mansfield uznał widocznie za rzecz tak oczywistą, że odpowiadając „*Sure*” [oczywiście] mocno jeszcze uściskał mi rękę... Poprosiłem go więc, żeby ktoś z ambasadzkich funkcjonariuszy wyjął z bagażnika samochodu nasze rzeczy w papierowych torbach. Funkcjonariusz natychmiast zjawił się i podałem mu kluczyki od samochodu. Poprosiłem też amb. Mansfielda, czy moja córka nie mogłaby zadzwonić do swojego narzeczonego w Belgii i poinformować go o tym co się stało.

Kiedy Ewa rozmawiała z Etiennem, ja z kolei podawałem Ambasadorowi motywy mojej decyzji. W międzyczasie na stoliku pojawiły się kanapki oraz ciepłe i chłodne napoje, przy których nasza rozmowa toczyła się nadal. Mansfield pogratulował mi dokonanego kroku i zapewnił, że w USA będę wraz z rodziną dobrze przyjęty. Wkrótce potem funkcjonariusz, który zajmował się wyładowaniem naszych rzeczy z samochodu, zjawił się i poinformował, że wszystko jest już przeładowane do innego samochodu. Zaczęliśmy więc zbierać się do wyjścia, dziękując Ambasadorowi za jego gościnność. Zeszliśmy na dół i w asyście paru samochodów udaliśmy się w drogę, klucząc po ciasnych uliczkach tokijskich pewnie dla zgubienia ewentualnego „ogona”. Zajechaliśmy wreszcie na dziedziniec gmachu mieszkalnego i wprowadzono nas do jakiegoś mieszkania prywatnego. Gospodarz mieszkania, miły pan w okularach, może nieco młodszy ode mnie, przedstawił się jako „Ray”. Byłem przekonany, że musiał on być kimś ważnym z rezydentury CIA w Tokio, a domysły moje już wkrótce potwierdziły się, kiedy w mieszkaniu zjawili się jeszcze dwaj inni i nieznanymi mi nawet z widzenia Amerykanie. Gospodarze nasi, nie próbując nawet nas rozdzielać, rozpoczęli ze mną rozmowę. Domyślałem się, iż chcieli wiedzieć, czy obok oficjalnej funkcji Ambasadora PRL miałem jeszcze jakieś inne, uboczne. Potwierdziłem, że od września 1956 r. byłem oficerem kadrowym Z-II, wywiadu wojskowego, podając też swoim rozmówcom mój pseudonim, ale w Japonii, mimo że do rezerwy nie przeszedłem, żadnych funkcji wywiadowczych już nie pełniłem. Moi rozmówcy uzyskaną informacją byli zaskoczeni, gdyż dotąd władze amerykańskie posądzały mnie o więzy z wywiadem MSW, ale nie MON.

Na tym rozmowa skończyła się, dwaj przybysze zniknęli, a do mieszkania zawitali natomiast dwaj Japończycy, mający stanowić naszą ochronę. Ray w międzyczasie zamówił

kolację, którą wkrótce dostarczono do mieszkania, a po której, tuż przed północą, nieco zmęczeni mijającym dniem, poszliśmy spać. Dzień 23 grudnia 1981 r. dobiegł więc końca.

Jedną nogą byliśmy już w USA...

O swojej „ucieczce”, jak w trójkę nazywamy dokonany w tym dniu dramatyczny krok, nazywałem się wiele w publikacjach krajowych, polonijnych i obcych.

Tak na przykład, w specjalnym wydaniu dwumiesięcznika *Foreign Affairs* pt. „AMERICA AND THE WORLD 1981”, na str. 734 figuruje również wzmianka o mojej ucieczce, zajmująca ponad dwukrotnie więcej miejsca niż wzmianka o amb. Romualdzie Spasowskim, akredytowanym w USA, który poprosił tam o azyl prawie trzy dni wcześniej.

Po latach, wzmianki i komentarze na temat mojej ucieczki znalazły się, niezależnie od zamieszczanych w prasie, także w niektórych krajowych książkach i podręcznikach historii, jak „Historia Polski 1914-1993” Wojciecha Roszkowskiego, wydana w Warszawie w 1994 r. czy w „Zarysach dziejów politycznych Polski 1944-1989” Jerzego Eislera, książce wydanej również w Warszawie w 1992 r.

W wydanej z kolei w USA w 1987 r. polonijnej publikacji dużego formatu, zatytułowanej „POLAND - A Historical Atlas”, autorstwa Iwo Cypriana Pogonowskiego, w chronologii najważniejszych wydarzeń w Polsce, pokrywającej okres lat 840-1981, na str. 40 jest również wzmianka o mojej ucieczce. Oprócz tego w prasie światowej, której wycinki przechowuję, poświęcono mojej ucieczce (a przecież daleko nie wszystko na ten temat trafiło do mnie) też wiele miejsca, często na czołowych stronach. O ucieczce donosiły również telewizja i radio niemal w całym świecie i to miesiącami, a nawet latami.

Czyn mój znalazł się więc wśród godnych uwagi wydarzeń w historii Polski i świata.

Z drugiej strony, relacje i komentarze na jego temat, wyłącznie polskojęzyczne, były często (miejscami jeszcze są) dalekie od prawdy, a nie rzadko zmyślone i złośliwe. Ale nawet te niezmyślone i niezłośliwe są czasem również częściowo nieprawdziwe i nie mam o to pretensji, gdyż poza mną, Niunią i Ewą *nikt* nie wie jak w rzeczywistości było z naszą ucieczką.

No właśnie, a jak naprawdę było?

Z grubsza, o czym już wspominałem w poprzednim rozdziale, decyzję o ucieczce

podjąłem jeszcze w marcu 1981 r., kiedy to zaistniała możliwość wprowadzenia w kraju „stanu wojennego”. W momencie jednak, kiedy został on wprowadzony, należało wyważyć wszystkie racje „za” i „przeciw”, a następnie podjąć ostateczną decyzję.

Czy wahałem się?

Ależ oczywiście! Stan wojenny, choć oczekiwałem jego wprowadzenia już od miesięcy, mimo wszystko zaskoczył mnie. Łudziłem się, że jakieś porozumienie stron nastąpi, zwłaszcza że 4 listopada 1981 r. doszło do spotkania Jaruzelski-Wałęsa-Glemp. Inna rzecz, że wkrótce potem posypały się wydarzenia, które wskazywały raczej na słabnące szanse pokojowego rozwiązania dość już długo ciągnącego się kryzysu.

Przebieg stanu wojennego, tak jak mogłem go oglądać z Tokio, wydawał się początkowo mieć względnie spokojny przebieg. Masowe aresztowania, zwane internowaniem oraz inne rygory stanu wojennego, takie jak godzina milicyjna, swoboda poruszania się poza miejscem zamieszkania, czy zawieszenie rozmów telefonicznych, utrudniły niewątpliwie ruch protestacyjny, nie mówiąc już o jakimkolwiek czynnym oporze ze strony *Solidarności*. Zresztą, przed stanem wojennym, nie mówiła ona o czynnym oporze, a co najwyżej o biernym. Ponadto, czynny opór, pomijając jakieś izolowane akty podyktowane raczej desperacją niż rozsądkiem, nie miał *najmniejszych* szans. *Solidarność nigdy* nawet nie próbowała pozować na organizację polityczną, a tym bardziej o charakterze wojskowym. W istniejących polskich realiach, takich samych jak we wszystkich krajach tzw. wspólnoty socjalistycznej, jakakolwiek opozycyjna organizacja tego rodzaju była z *góry* wykluczona. Zdobycie przez nią broni własnymi siłami było absolutnie niemożliwe, a otrzymanie jej z zewnątrz jeszcze mniej prawdopodobne. Nie można było też liczyć na to, że na stronę opozycji przejdą jednostki w gestii MSW. Co się zaś tyczy jednostek wojskowych, to i tutaj szanse przechodzenia ich na stronę opozycji były minimalne. A jeśli nawet miejscami było to możliwe, to efekt tego byłby przede wszystkim propagandowy. Wojsko miało niewielkie zapasy amunicji i często było używane do różnych akcji bez broni, albo jeśli już z bronią, to z niewielką ilością amunicji.

Ewentualny opór mógł zatem przyjąć co najwyżej charakter strajków okupacyjnych, protestów ulicznych, jak też akcji propagandowej w postaci ulotek i niecenzurowanych

publikacji. W poszczególnych wypadkach w grę mogła jeszcze wchodzić akcja sabotażowa oraz indywidualne akty terroru. W sytuacji jednak zatrzymania w miejscach odosobnienia niemal całego centralnego i regionalnego kierownictwa *Solidarności*, nawet i takie ograniczone akty czynnego oporu miały małe szanse. Zastąpienie go natomiast jakimś podziemnym kierownictwem wymagało czasu.

Tym niemniej - takie przynajmniej odniosłem wrażenie - w kraju jakby coś zaczęło się dziać po paru dniach od ogłoszenia stanu wojennego. Oto bowiem, w środę 16 grudnia wieczorem dotarły do Tokio wieści o zabiciu 9-ciu i ranieniu kilkudziesięciu górników przed kopalnią węgla *Wujek*. Wydarzenie to wziąłem za *początek* serii następnych. Tym bardziej, że ruch strajkowy zaczął obejmować wiele zakładów, jak na przykład górników kopalni *Ziemowit* i *Piast*, którzy zabarykadowali się pod ziemią, odmawiając wyjazdu na powierzchnię. O ile dotąd wahałem się jak zareagować na stan wojenny, to teraz już nie miałem wątpliwości, że decyzja zerwania z PRL dojrzała już we mnie ostatecznie. Dokąd stan wojenny przebiegał bezkrwawo, pomimo łamania strajków siłą, to jeszcze mogłem go tolerować. Teraz zaś, kiedy polała się krew, nigdy!

Czy nie pośpieszyłem się? Dziś wiem, że zniwo stanu wojennego nie było aż tak krwawe, ale tym niemniej rozlew krwi bratniej wstrząsnął mną do głębi, już nie mówiąc o tym, że byłem pewny następnych.

Co więcej, już po krwawych wydarzeniach w grudniu 1970 r. dałem sobie słowo, że następnych krwawych wydarzeń w Polsce *nie będę* tolerował. Tak to nawet powiedziałem na zebraniu partyjnym w Genewie, w którym brał także udział, w charakterze gościa, przebywający tam służbowo Zbigniew Resich, I-szy Prezes Sądu Najwyższego. Stanowisko moje wynikało nie tylko ze zwyczajnej ludzkiej reakcji na czyjąś śmierć, zwłaszcza współrodaków, ale także z przekonania, że krwawe tłumienie w PRL protestów ulicznych było dziełem głównie prowokacji władz. Tak było w czerwcu 1956 r. w Poznaniu i tak było w grudniu 1970 r. na Wybrzeżu. Niewiele też brakowało, że krew mogła się polać w październiku-listopadzie 1956 r., w marcu 1968 r., jak też w czerwcu 1976 r. w Radomiu i Ursusie. Jeśli do tego nie doszło, to widocznie tak miało być. Nie będę w tej chwili powtarzał różnych zasłyszanych faktów od wielu

„wtajemniczonych ludzi” (do których należał m. in. Józef Cyrankiewicz), ale powtarzam to, co słyszałem. A ponieważ i teraz wydarzenia Lata 80, dość podejrzane i niewątpliwie zdążające do krwawej konfrontacji, czego pierwsze objawy po wprowadzeniu stanu wojennego już stały się faktem, więc danego sobie w przeszłości słowa należało dotrzymać.

Mimo wszystko, przejście od słów do czynów wcale nie przychodziło mi łatwo. Dziś mogę nawet powiedzieć, że najprawdopodobniej nie zdobyłbym się na dokonany krok, gdyby stan wojenny był prawdziwie *wojskowym* zamachem stanu. Co prawda, PZPR od pierwszych dni stanu wojennego zesłała jakby w cień, ustępując pola wojsku i siłom bezpieczeństwa, ale jej działalność nie została zawieszona, a Jaruzelski pozostawał nadal jej formalnym i faktycznym przywódcą. W krajach tzw. wspólnoty socjalistycznej inny stan rzeczy był zresztą nie do pomyślenia, ale łudziłem się, że może Polska będzie wyjątkiem. Skoro bowiem rządząca przez trzydzieści siedem lat partia nie była w stanie rozprawić się z opozycją i pokonać ją własnymi siłami, a musiała posłużyć się siłami wojskowo-bezpieczniackimi, to tym samym postawiła się *poza* nawiasem. Ponieważ jednak szybko stało się oczywiste, że PZPR będzie istnieć i po chwilowym oszołomieniu odzyska swoją kierowniczą rolę w społeczeństwie, więc tym bardziej decyzja zerwania z partią i systemem przez nią stworzonym wydawała mi się *jedynie* słusznym rozwiązaniem. Możliwe, że gdybym był w kraju i nie zostałbym internowany, tak jak internowano trzydzieści dwie osoby z kręgów władzy, ludzi najczęściej już w odstawce i których listę otwierał Gierek, to zapewne wystąpiłbym z PZPR. Krok taki równałby się najprawdopodobniej utracie pracy w MSZ i może także na SGPiS, a do tego doszłyby jeszcze inne sztyki. Z pewnością krok mój nie odbiłby się żadnym echem w kraju i świecie, gdyż żadnych świecznikowych funkcji partyjno-państwowych przed wyjazdem do Japonii nie pełniłem. Co najwyżej, moje wystąpienie z partii stałoby się sensacją w obu moich miejscach pracy oraz w gronie przyjaciół i znajomych, ale na tym byłby koniec. Będąc jednakże za granicą i na stanowisku ambasadora, czyn taki byłby już zupełnie bez sensu. Teoretycznie, mogłem oczywiście podać się do dymisji i wystąpić z partii, ale *kto* wiedziałby o tym poza moją ambasadą i przełożonymi w kraju? Chyba, że po nieuchronnym ściągnięciu mnie do Warszawy, oskarżono by mnie o szpiegostwo czy o jakieś inne zmyślane przestępstwa i z rozgłosem

uwięziono na długie lata, jeśli w jakiś sposób po prostu nie zgładzono by mnie. Mógłbym też być jeszcze uznany za umysłowo chorego, co akurat w oczach ludzi wyglądałoby na wiarogodne. Był głupiec na Zachodzie i zamiast tam zostać, pchał się pod nóż! A może ten Rurarz, to naprawdę wariat?

Po konsultacji z Niunią i Ewą zdecydowałem się więc, że... uciekamy!

Na ucieczkę, choć dla wielu może to brzmieć mało przekonująco, zdobyłem się również z innych powodów niż krwawe wydarzenia w kopalni *Wujek*. Partii, PRL i tzw. wspólnoty socjalistycznej miałem już od lat dosyć i nie mogłem pohamować się, żeby publicznie nie dawać temu wyrazu. Coś, co we mnie pękło już dawniej, teraz ujawniało się z całą siłą. Nie wyobrażałem sobie, że jeszcze raz mógłbym dać wiarę czemukolwiek przy zachowaniu dotychczasowych porządków systemowych i niepełnej suwerenności Polski. Wszyscy i wszystko dookoła drażniło mnie niepomierne i zapewne nie mógłbym się pohamować, żeby o tym otwarcie nie mówić, a to nie uszłoby mi płazem. Nikt z peerelowskich i radzieckich przywódców nie miał już w moich oczach ani autorytetu, ani krzty zaufania. Wszystkich na górze albo uważałem za skończonych durniów, albo ludzi złej woli. Może, gdybym jeszcze w latach 1971-1972 nie był doradcą ekonomicznym Gierka i nie widział jak funkcjonowało „centrum władzy”, to miałbym jeszcze jakieś złudzenia. Teraz nie miałem już żadnych. Byłem też głęboko przeświadczony (co niemal zaraz potwierdziło się), że stan wojenny *niczego* nie naprawi, a wszystko pogorszy, szczególnie sytuację gospodarczą, która i bez tego była tragiczna, gdyż Zachód (sam się tego zresztą domagałem) odpowie teraz sankcjami gospodarczymi, głównie w postaci odcięcia Polski od nowych kredytów, bez których gospodarka *nie mogła* już normalnie funkcjonować.¹

Miałem też pretensję do *Solidarności*, że tak bezmyślnie dała się ponieść różnym żądaniom robotniczym, z których niektóre po prostu *pogrążyły* gospodarkę. Wolne soboty górnicze, choć z czysto ludzkiego punktu widzenia nie bez racji, w praktyce spowodowały spadek wydobycia węgla o 8 mln ton już w 1980 r., a w 1981 r. zanosilo się co najmniej na 30

¹ Tak też stało się. Spadek dochodu narodowego w 1982 r., mimo wygaszenia strajków i zaostrenia dyscypliny pracy, wyniósł 11,5 procent. Odcięcie zaś Polski od kredytów zachodnich spowodowało ogromne straty w produkcji.

mln ton! Dochód narodowy w 1980 r. spadł o 6 procent, a w 1981 r. jego spadek mógł jeszcze podwoić się.²

Na tym nie kończyły się moje czarne myśli co do przyszłości Polski. Może nawet nie byłyby one aż tak czarne, gdybym był w kraju. Ale będąc od niego bardzo daleko, nie mówiąc już o tym, że pełnienie funkcji ambasadora w miejscu dyplomatycznie tak aktywnym jak Tokio, gdzie nie było dnia bez różnych i licznych spotkań i przyjęć, było niezwykle czasochłonne i wyczerpujące. W dodatku, jako nowy przybysz, musiałem składać nieskończoną ilość wizyt zapoznawczych kolegom ambasadorom i różnym instytucjom japońskim, co również absorbowало mnie niepomierne. Czasu miałem więc niewiele, żeby móc uważnie śledzić rozwój sytuacji w kraju i wokół niego, zwłaszcza w ZSRR, gdzie tuż po moim przybyciu do Japonii, w dniach 22 lutego - 3 marca 1981 r., odbył się XXVI zjazd KPZR. Na zjeździe, Breżniew w swoim przemówieniu mówił o narastaniu niebezpieczeństwa *kontrrewolucji* w Polsce. Zapewnił jednak zjazd, że „Polski nie zostawimy w biedzie”, a stąd wynikały określone konsekwencje, również dla mnie. Zwłaszcza, kiedy radziecki ambasador, Dmitrij Polanski, zaproponował mi wystąpienie 22 kwietnia na akademii organizowanej z okazji 111 rocznicy urodzin Lenina przez jego ambasadę dla tzw. wspólnoty socjalistycznej. Przed takim forum, rzecz jasna, nie zamierzałem wygłaszać czegoś diametralnie innego, niż to, co powiedział Breżniew na zjeździe KPZR. Nie miałem bowiem wątpliwości, że Moskwa poddawała mnie publicznemu egzaminowi z „prawomyślności”. Przemówienie, po rosyjsku, wygłosiłem z głowy, trzymając się jednak ściśle linii Breżniewa (wiedziałem przecież do kogo i gdzie mówię). Egzamin publiczny chyba zdałem, o czym świadczyły rzęsiste brawa, ale wiedziałem, że na tym nie koniec, a więc musiałem się mieć na baczności. Nie wykluczałem bowiem, że Moskwa mogła już wywęszyć, co mówiłem Ewie telefonicznie w końcu marca (o czym już wspominałem w poprzednim rozdziale), jak też to, co powiedziałem ambasadorowi USA Michaelowi J. Mansfieldowi 1 kwietnia przy okazji składania mu wizyty. Powiedziałem mu bowiem wtedy, że gdyby nie zażegnano przewidzianego na 31 marca strajku generalnego w Polsce, to wprowadzono by „stan

² Wyniósł 11,5 procent.

wojenny”. Sądząc z reakcji ambasadora i obecnego przy rozmowie, wspomnianego już powyżej radcy Franka M. Fulghama, o takiej ewentualności obaj nie wiedzieli (jak potem dowiedziałem się, wprowadzenie stanu wojennego w końcu marca CIA brała pod uwagę).

W każdym razie, czynnika radzieckiego w swojej tokijskiej działalności *nie mogłem* nie brać pod uwagę. Przeciwnie, brałem go *bardziej* pod uwagę aniżeli wszystkie inne czynniki razem wzięte. Fakt, że w czasie mojego powrotu w dn. 3 lipca 1981 r. z Warszawy do Tokio via Moskwa zginęła moja walizka (z Moskwy do Tokio przybyła dopiero następnego dnia), bardzo mnie zaniepokoił. Niepokój mój wzmógł się jeszcze po mojej rozmowie na przyjęciu w ambasadzie ZSRR z okazji Rewolucji Listopadowej. Radziecki attaché wojskowy i morski, kapitan I stopnia (odpowiednik pułkownika) Iwan Iwanow, prawdziwy niedźwiedź rosyjski, który, gdzie tylko mógł łapał mnie na rozmowy i teraz też dorwał mnie, a mając już w czubku, powiedział mi coś, co mnie zmroziło:

- Wy towarzyszc pasoł, po mojemu, cziestnyj czielowiek. No u nas niekatoryje somniewajutsja i nie znajut kiem wy diejstwitielno. (Według mnie Wy, towarzyszu ambasadorze, jesteście uczciwym człowiekiem. Ale u nas niektórzy mają wątpliwości i nie wiedzą kim Wy naprawdę jesteście.).

- Za wielikuju oktiabrskuju riewoluciju! - podniosłem kieliszek, udając puszczenie mimo uszu jego słów. Stuknęliśmy się kieliszkami, wychylając je do dna i bez słowa komentarza odszedłem, życząc jeszcze „s Prazdnikom!” stojącej obok grupce radzieckich oficerów.

Naprawdę jednak, słów Iwanowa nie puściłem mimo uszu i odtąd już postanowiłem być *wyjątkowo* czujny. Domysły moje, że radziecki wywiad i kontrwywiad namierzał mnie i że mogło się to kiedyś skończyć dla mnie tragicznie, znalazły po latach potwierdzenie w niektórych krajowych publikacjach.³

Dlatego też, kiedy w drugiej połowie listopada 1981 r. dowiedziałem się, że mam być wkrótce służbowo wezwany do Warszawy, to choć domyślałem się co może być tego powodem,

³ Po latach przeczytałem w książce Jakuba Kopcia, że marszałek Wiktor Kulikow, dowódca naczelny wojsk UW, w rozmowie z Jaruzelskim 29 maja 1981 r. miał mu powiedzieć, że „wydaje się zgodę na wyjazd do Japonii człowiekowi, który powinien być sądzony...” (*Dossier Generała*, Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1991; str. 137).

wyraziłem chęć *natychmiastowego* przyjazdu. Ale to właśnie jakby sprawę mojego wyjazdu zdezaktualizowało. Widocznie spodziewano się, że będę wykręcał się od przyjazdu, a tu raptem gotów jestem jechać!

W tej sytuacji, mimo że to wiele by mi nie pomogło, jeśli już byłem namierzany przez radzieckie służby specjalne, postanowiłem zagrać *va banque* i skomplikować im nieco zadanie. Mianowicie, w dniu 14 grudnia postanowiłem wydać pożegnalną kolację w naszej ambasadzie dla opuszczającego Japonię ambasadora ZSRR Dmitrija Polanskiego i jego żony. Na kolacji miało też być paru innych wyższych rangą funkcjonariuszy radzieckiej ambasady, ze wspomnianym już powyżej Iwanowem włącznie. Na kolacji - taki postawiłem sobie cel - nie tylko nie dam gościom najmniejszych powodów do przypinania mi potem różnych „łatek”, ale przeciwnie, będę starał się ich utwierdzić, że jestem „*nadiożnym*” przyjacielem ZSRR.

Wprowadzenie stanu wojennego w Polsce pokrzyżowało jednak wszystkie te moje zamiary. Wydawanie przeze mnie przyjęć w ambasadzie nie tylko byłoby nie na miejscu, ale nawet niebezpieczne. Przed naszą ambasadą już od 14 grudnia rano trwały bowiem hałaśliwe demonstracje protestacyjne, Ambasada była w związku z tym otoczona kordonem policji, a ja bez przerwy przyjmowałem różne delegacje z petycjami.

Kolację postanowiłem więc odwołać, ale w tym momencie stanąłem w obliczu dość prozaicznego dylematu. Co miałem zrobić z nagromadzonymi na kolację produktami żywnościowymi? Wyrzucić je było szkoda, a rozdanie ich pracownikom ambasady też nie było dobrym rozwiązaniem. Postanowiłem więc, przy szczelnie zasłoniętych oknach ambasady i z maksymalnym zachowaniem ciszy, urządzić wieczorem w piątek 18 grudnia przyjęcie dla jej personelu i innych naszych tokijskich placówek. Dużych ilości demonstrantów o tej porze nie spodziewałem się, a ponadto po paru dniach, protestów było już coraz mniej.

Tym niemniej, zebrany na tym osobliwym przyjęciu z góry zapowiedziałem, że nie będzie żadnych toastów, śpiewów, a poza tym poprosiłem o maksymalne zachowanie ciszy.

Stało się jednak inaczej, o czym zadecydował przypadek.

Na początku grudnia bowiem przybył do Tokio, jako członek tzw. Komisji Palmego, Józef Cyrankiewicz. Komisja była nieformalnym forum pokojowym, do którego wchodziły

różne osobistości, jak m. in. Cyrus Vance, b. Sekretarz Stanu USA, Egon Bahr, b. podsekretarz stanu w urzędzie kanclerskim RFN i autor „polityki wschodniej” Brandta, akademik Gieorgij Arbatow, dyrektor Instytutu USA-Kanada w Moskwie i doradca Breżniewa, Romesh Chandra, hinduski komunista i przewodniczący Światowej Rady Pokoju, wymieniając tylko niektórych. Komisji przewodniczył Olaf Palme, b. szwedzki premier.

Cyrankiewicz zamieszkał w pokoju gościnnym ambasady, a swój pobyt w Tokio przedłużył sobie jeszcze, gdyż miał tutaj przybraną córkę, p. Anię, moją sekretarkę oraz jej męża Andrzeja Nierubca, I sekretarza ambasady do spraw prasowych. A ponieważ Cyrankiewicz, którego poznałem bliżej w czasie mojego wspomnianego już letniego pobytu w Warszawie (przeszliśmy tam nawet na „ty”) był fantastycznym gawędziarzem i kopalnią wiedzy o historii PRL, więc jego pobytowi byłem wielce rad. Rozmawialiśmy całymi godzinami sam na sam w moim gabinecie. Często też razem z Niunią gościliśmy go w rezydencji.

Stan wojenny specjalnie Cyrankiewicza nie zaskoczył, ale za to zadziwił mnie on czym innym. W poniedziałek 14 grudnia przyszedł bowiem jakoś dziwnie podniecony do mojego gabinetu już o 8-mej rano i poprosił mnie o natychmiastowe danie mu samochodu z kierowcą w celu pilnego udania się do... ambasady ZSRR! Chętnie się na to zgodziłem, gdyż miałem o 9-tej rano dzwonić do Polańskiego z wiadomością o skreśleniu dzisiejszej z nim kolacji. Teraz pomyślałem sobie, że lepiej będzie wykorzystać do tego celu pobyt Cyrankiewicza w ambasadzie ZSRR, który osobiście przekaze Polańskiemu moją decyzję. Tym niemniej, fakt nagłej chęci jazdy Cyrankiewicza do ambasady ZSRR utwierdził mnie tylko w przekonaniu, że był on „ich” człowiekiem i zapewne chciał teraz wytłumaczyć się ze swojego przeciągającego się pobytu w Tokio oraz ewentualnie prosić o instrukcje, jak ma się zachowywać w zaistniałej nagle sytuacji.

Po powrocie z ambasady Cyrankiewicz był wyraźnie osowiały, ale mimo to przesiadywał u mnie i kontynuował opowieści z przeszłości, unikając tylko komentarzy na temat stanu wojennego.

Wracając jednak do wspomnianego piątkowego przyjęcia, to pomimo mojej prośby, żeby nie wznosić toastów, Cyrankiewicz podniósł kieliszek do góry i tak mniej więcej zaczął mówić:

- Proponuję wypić zdrowie naszego ambasadora i generała Jaruzelskiego, który dzięki stanowi wojennemu uratował Polskę od katastrofy...

Nie wytrzymałem i przerwałem Cyrankiewiczowi, mówiąc z grubsza następująco:

- General Jaruzelski stanem wojennym Polski nie uratował. Przeciwnie, pogrążył ją jeszcze bardziej w ciężkim kryzysie, którego skutki są trudne do przewidzenia. Wymówienie przez generała Jaruzelskiego wojny narodowi jest hańbą! Decyzję podjął z rozkazu Moskwy, która już od dziesięcioleci traktuje Polskę jak wasalą, a nie sojuszniką! Wbrew faktom odmawia też przyznania się do licznych zbrodni na Narodzie Polskim, jak na przykład do Katynia! Polska musi wreszcie być Polską, a stan wojenny jej w tym nie pomoże. Pogorszy i tak już złą sytuację...

Po moich słowach zapadła grobowa cisza. Gdy mówiłem, to obserwowałem zachowanie się wspomnianego już w innym miejscu Omietńskiego, oficjalnie II Sekretarza ambasady, a nieoficjalnie rezydenta MSW. Ten trzydziestokilkuletni szczupły i wysoki blondyn, absolwent Instytutu Języków Obcych w Moskwie, władający biegle rosyjskim, angielskim i japońskim, inteligentny i bystry, był nade wszystko niezwykle gorliwym esbekiem. Słuchając mnie pąsował i bladł na zmianę, poruszał się niespokojnie, a kiedy skończyłem, to zaczął coś szeptać na ucho Zygfydowi Drozdowi, oficjalnie I Sekretarzowi ambasady i sekretarzowi POP PZPR, a nieoficjalnie pułkownikowi i rezydentowi Z-II. Drozd przecząco kręcił głową i nie wiem co by było dalej, ale w tym momencie podniósł się nieco już podpity Zdzisław Orzechowski, przedstawiciel Lotu, wygłaszając tyradę, przy której moja mowa była niczym. Po prostu powiedział, że jak tak dalej będzie, to on wróci do kraju i pójdzie do ...zbrojnego podziemia!

Na tym skończyły się wystąpienia, zapanowało kłopotliwe milczenie, coś tam jeszcze niektórzy cicho ze sobą rozmawiali i tak przyjęcie dobiegło końca.

Wiedziałem, że swoim wystąpieniem dokonałem już otwartego zerwania z PRL. I tak to ocenił Omietński (szeptał do Drozda - jak potem dowiedziałem się - domagał się od niego natychmiastowego zebrania POP i wykluczenia mnie z partii, co równałoby się zawieszeniu mnie w funkcji ambasadora, ale Drozd kategorycznie się temu sprzeciwił).

Po powrocie do rezydencji, nie miałem już wątpliwości, że teraz należało już *jak najszybciej* zrywać z PRL.

Ale jak to uczynić z umierającym Toofym? Muszę bowiem zaznaczyć w tym miejscu, że już prawie 15-letniego Toofy'ego, pięknego cocker-spaniela koloru ciemnoczekoladowego, uważaliśmy za członka naszej rodziny. Jadąc do Tokio nie mogliśmy go zabrać ze sobą, gdyż w Bangkoku musiałby przejść tygodniową kwarantannę, której jak wieści niosły, żaden pies nie przeżywał. Zostawiliśmy go więc u Mamy Niuni w Końskich z nadzieją, że Niunia latem specjalnie przyleci, żeby go zabrać do Tokio. Czarterowany samolot Lotu miał tam bowiem lecieć latem z Warszawy via ZSRR, z cyrkiem i jego zwierzakami na pokładzie. Tak też stało się i Niunia przywiozła Toofy'ego do Tokio. Początkowo cieszył się bardzo dobrym zdrowiem, ale w październiku Toofy zaczął zapadać na zdrowiu, tracił gwałtownie wagę, krwawił przy czynnościach fizjologicznych i nie miał nawet krzty dawnej energii. Od 14 grudnia, jak nam to powiedział leczący go japoński weterynarz, niezwykle miły dr Shozo Sakae, nie było już dla niego żadnego ratunku i było tylko kwestią czasu ile dni jeszcze przeżyje. O tym więc, żeby umierającego Toofy'ego zostawić w naszej rezydencji, nie było mowy. Wzięcie go ze sobą byłoby też niemożliwe i nawet nieludzkie. Toofy leżał zatem na swoim posłaniu, nie pił, nie jadł i jakby był pogrążony we śnie, tylko od czasu do czasu poruszał się niespokojnie i próbował wstać.

Nasze plany ucieczki, ciągle jeszcze dalekie od szczegółów, musieliśmy więc odłożyć na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Zacząłem tym niemniej gorączkowo przemyśliwać różne warianty wysoce złożonego zadania opuszczenia naszej rezydencji. Mieszkaliśmy bowiem w jednym z trzech skrzydeł ambasady. Pod nami mieszkał woźny, p. Władysław Kuligowski z żoną i dzieckiem, rezerwista czerwonych beretów” zapewne powiązany z którymś z peerelowskich kontrwywiadów. Człowiek niezwykle miły i uczynny, mógł być jednak groźny w nadzwyczajnych okolicznościach, zwłaszcza jeśli otrzymałby takie polecenie od mieszkającego w kompleksie ambasadzkiem Omietańskiego (Drozd mieszkał poza ambasadą). Niezależnie od tego sąsiedztwa, w końcowym skrzydle ambasady mieszkało jeszcze sześciu jej funkcjonariuszy z rodzinami, w tym niedawno przybyły nowy szyfrant p. Leszek Belke, podpułkownik MSW, chłop potężny i uzbrojony w pistolet (ja z kolei żadnej broni nie miałem).

Ambasada była ponadto ogrodzona żelaznym i wysokim parkanem, z zamkniętą na klucz bramą wjazdową i furtką. W dzień ambasada była silnie strzeżona przez mundurową policję i policyjnych agentów w cywilu, ze względu na demonstracje, ale w nocy ochrona była już nieliczna. Problem mój polegał więc na tym, że gdybyśmy próbowali opuścić ambasadę w nocy z jakimiś bagażami i zauważyłby to Omietański, to znając japoński mógłby wezwać policjantów do zatrzymania nas jako ...złodziei! Ja z kolei, nie znając japońskiego, mógłbym mieć z nimi kłopoty (dlatego też 19 grudnia poprosiłem wyższego funkcjonariusza policji, który co rano przychodził do mnie pytać jak działa ochrona, żeby w nocy obok mundurowej policji był ktoś z cywilnych agentów ze znajomością angielskiego. Nie zauważyłem jednak, żeby moja prośba została zaraz spełniona).

Poleciłem więc panu Władkowi, nie zamykać furtki na noc, gdyż z Niunią i Ewą chodzimy późnym wieczorem na spacer w okolicy ambasady. Jeden więc problem jako tako rozwiązałem. Nadal jednakże, póki Toofy żył, żadnych innych nie mogłem nawet rozwiązywać, gdyż nie wiadomo było jak długo potrwa jego agonia.

W sobotę 19 grudnia jednak, w godzinach przedpołudniowych, Toofy raptem zerwał się z łóżeczka. Oczy miał rozszerzone i czynił wrażenie jakby powrotu do zdrowia. Było to, niestety, tylko chwilowe złudzenie. Toofy bowiem zaczął nagle głośno ziajać. Wzięliśmy go w trójkę na ręce... Nie było wątpliwości - umierał... Płakał jak dziecko, raptem westchnął głęboko i po chwili jego łepki opadł bezwładnie w dół... Nie żył... Niunia z Ewą rozpląkały się...

Zadzwoiłem do dr. Sakae, który zjawił się wkrótce z kondolencjami i olbrzymim bukietem białych róż. Już wcześniej postanowiliśmy, że Toofy'ego zawieziemy do krematorium i prochy jego zabierzemy ze sobą w urnie (dr Sakae bardzo nam w tym pomógł). Pod Tokio był specjalny cmentarz, razem z krematorium, dla zwierząt domowych. Problem był tylko w tym, że ze względu na weekend i jakieś japońskie święto, krematorium było zamknięte aż do wtorku, 22 grudnia. Wyjścia jednak nie było i trzeba było czekać. Z krematorium przyjechał Japończyk, bardzo delikatnie włożył zwłoki Toofy'ego do pudła i odjechał. Nie muszę dodawać, w jakich byliśmy nastrojach widząc to wszystko...

Niedziela minęła spokojnie. Ale już w poniedziałek rano, 21 grudnia, nowe wydarzenie!

Będąc jeszcze w łóżku i słuchając razem z Niunią porannego dziennika radiowego dla sił zbrojnych USA na Dalekim Wschodzie, usłyszeliśmy nagle, że polski ambasador w Waszyngtonie, Romuald Spasowski, poprosił z rodziną o azyl polityczny!

Słyszając to siadłem na łóżku, głośno wykrzykując:

- *Brawo Romek!*

Gdyby nie stan Toof'yego, to z pewnością ja byłbym pierwszy, który zdobyłby się na taki krok, ale stało się i teraz wiedziałem, że będę następnym. Możliwe - myślałem - że takich jak my będzie więcej i będzie to nasz wkład do walki o dobre imię Polski.

Działając w pośpiechu i tym samym nierozważnie, zdobyłem się następnie na krok, który omal nie pokrzyżował naszej ucieczki. Rozumowałem bowiem, że skoro już jeden z ambasadorów PRL zwrócił się o azyl polityczny do USA i otrzymał go, to również następny, czyli ja, też powinien go otrzymać. Ale Spasowski był w Waszyngtonie i nie wykluczałem, że może wcześniej nawiązał jakiś kontakt z tamtejszymi władzami, które dały mu na to zgodę. Wykocypowałem więc sobie, że również ja powinienem jakoś dać znać Amerykanom, że uczynię to samo co Spasowski. Postanowiłem więc, jeszcze przed śniadaniem, zadzwonić z rezydencji do wspomnianego już powyżej radcy ambasady USA Franka Fulghama. Miał za żonę amerykańską Polkę, a więc może będzie najwłaściwszą osobą do skontaktowania się spośród wielu innych członków ambasady USA - pomyślałem sobie. Byłem jednocześnie pewny, że japoński podsłuch, a może jeszcze jakiś inny, „podłapie” moją rozmowę, ale trzeba było ryzykować. Słyszając w słuchawce głos Fulghama, dość oględnie zapytałem go, czy o każdej porze dnia i nocy mogę liczyć na jego obecność w ambasadzie. Zapewnił mnie, że jak najbardziej i na tym nasza rozmowa skończyła się.

Po zjedzeniu śniadania poszedłem jak zwykle do swojego gabinetu, nastawiłem radio, ale oto zapukał do moich drzwi i natychmiast wszedł błady jak papier wspomniany już powyżej Andrzej Nierubiec, który tak oto do mnie powiedział:

- *Panie Ambasadorze, radio mówi, że Pan będzie uciekał...*

Uszom swoim nie wierzyłem, co usłyszałem! Za chwilę jednak sam to w radio usłyszałem. Amerykańskie radio wojskowe mówiło oto, że po ucieczce polskiego ambasadora w

Waszyngtonie, następnym może być... polski ambasador w Tokio! Zamarłem z wrażenia. Zaraz poinformowałem o tym Niunię i Ewę. Postanowiliśmy zachowywać się w tej sytuacji jak najbardziej normalnie, ale łatwo to było mówić, a trudniej zrobić!

Z rezydencji powróciłem znów do gabinetu, a tu mi donoszą, że przed bramą ambasady jest już masa różnych dziennikarzy i kameramenów, czekających na ... moją ucieczkę! Korespondent CBS zaś grozi, że jeśli nie zobaczy mnie na oczy, to puści w świat wiadomość, że coś mi się złego stało! Przyznam, że to wszystko wstrząsnęło mną do głębi, ale nie dałem tego po sobie poznać (w gabinecie już znalazło się w międzyczasie paru członków ambasady i Cyrankiewicz). Wobec tego kazałem wpuścić do recepcji na dole (gabinet mój był na piętrze) korespondenta CBS, gdzie zaraz zjawiłem się sam i uśmiechnięty jakby nigdy nic, a widząc jego zdziwienie powiedziałem mu, że nic złego mi się nie dzieje i niech nie puszcza w świat plotek! Korespondent zmieszał się i poszedł, ale tłum dziennikarzy przed bramą nie zniknął.

Wytworzyła się więc sytuacja niezwykle niecodzienna i niebezpieczna. Zachodziłem w głowę *jak* do niej mogło dojść?⁴ Nie pozostawało mi teraz nic innego jak w obecności licznych w gabinecie członków ambasady oskarżać Zachód, USA w szczególności, o jakąś niecną prowokację. Jednocześnie musiałem zachowywać się jak najbardziej normalnie. Podobnie zachowywały się Niunia z Ewą. Niemniej jednak, fakt podniesienia wrzawy wokół mojej osoby zatrwożył mnie nie na żarty. Czyżby Amerykanie podejrzewali jakąś prowokację z mojej strony i zorganizowali przeciek, żeby zorientować się co za grę wobec nich prowadzę? A może po prostu w ten sposób dają mi do zrozumienia, że azylu politycznego mi nie udzielą? Ogólnie przecież wiedziałem, że udzielenie azylu uzależniali od *wcześniejszego* nawiązania z nimi kontaktu i przekazywania im różnych informacji. Tego jednak nie tylko nie uczyniłem dotąd, ale nie zamierzałem uczynić i teraz.

Postanowiłem więc wyjaśnić tą niezwykle zagmatwaną sprawę. Poprosiłem Ewę, żeby

⁴ Całej prawdy nie dowiedziałem się nigdy, ale z tego co wiem, w czasie posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego w Białym Domu pod przewodnictwem prezydenta Reagana dotarła wiadomość o moim telefonie do Fulghama, co zebrani wzięli za oznakę ucieczki jeszcze jednego polskiego ambasadora. Wychodząc zaś z posiedzenia RBN Sekretarz Stanu Alexander Haig miał powiedzieć grupce czyhających na niego dziennikarzy japońskich, że następnym po amb. Spasowskim uciekiniem będzie polski ambasador w Tokio, co ci natychmiast puścili w świat!

wyszła i spoza terenu ambasady zadzwoniła do brytyjskiego ambasadora, dobrze mi znanego Sir Hugh Cortazziego, japonistę i człowieka powszechnie poważanego, proponując mu spotkanie w umówionym miejscu na wolnym powietrzu. Ewa uzyskała jego zgodę i wieczorem poszedłem na spotkanie z ambasadorem, który przyszedł w towarzystwie I Sekretarza K. C. Jamesa, znanego mi z Warszawy (posądzając go - bardzo trafnie jak okazało się - że był oficerem MI6, wywiadu brytyjskiego). Oba panom powiedziałem, że nie rozumiem co Amerykanie grają, że mam szczerze zamiary ucieczki, ale mam pewne komplikacje i że z pewnością w najbliższych dwóch dniach opuszczę ambasadę. Sir Cortazzi, co było wielce kurtuazyjnym gestem z jego strony, zaproponował mi w odpowiedzi azyl polityczny w jego kraju. Szczerze mu za to podziękowałem, ale powiedziałem, że w jakimś sensie sprawę jego uzyskania „nadałem” już Amerykanom i chciałbym ją doprowadzić do końca. Obaj moi rozmówcy przyjęli to do wiadomości i przyrzekli mi pomoc.

Na tym skończył się brzemienny w wydarzenia poniedziałek i nadszedł wtorek, 22 grudnia, dzień kremacji Toofy’ego, na którą to smutną uroczystość mieliśmy udać się całą trójką.

Zanim do tego doszło, przeczytałem jeszcze w depeszy z Warszawy, nadanej via Pekin, co Spasowski powiedział na konferencji prasowej w Waszyngtonie na temat motywów swojej ucieczki. Jako główny podał swój protest w odpowiedzi na areszt Wałęsy. Brzmiało mi to nieco dziwnie, ale nawet nie miałem czasu na jakieś refleksje, gdyż zjawił się u mnie płk. Drozd. Z zafrasowaną miną pokazał mi tekst depeszy, którą wysyłał do Z-II. Treść jej brzmiała mniej więcej następująco:

„Plotki, że tow. Ambasador zamierza zdezerterować, uważam za prowokację. Stwierdzam, że Ambasador pracuje nadal normalnie i nic nie wskazuje na to, że przygotowuje się do dezercji”.

Pułkownikowi Drozdowi byłem dogonnie wdzięczny za te słowa, podobnie jak za jego postawę w czasie wspomnianego powyżej przyjęcia. Gdyby nie jego postawa, to mógłbym być poddany wewnętrznemu aresztowi, a następnie, z pewnością przy pomocy ambasady ZSRR, w której zawsze jest grupa ze Specnaz w jej ochronie, w odurzeniu przetransportowany na lotnisko Narita i odprawiony codziennym lotem rejsowym Aeroflotu do Moskwy. Niunia z Ewą, nawet

bez odurzenia, poleciałyby wtedy za mną...

Nie wypadało mi jednak demonstrować mojej wdzięczności Drozdowi, na tekst machnąłem ręką, mówiąc, że niech postępuje tak, jak to uważa za słuszne...

W parę godzin później, wraz z Niunią i Ewą, udałem się we wczesnych godzinach popołudniowych swoim służbowym samochodem, z biało-czerwoną chorągiewką na jego masce, prowadzonym przez mojego świetnego i miłego kierowcę p. Minoru Nakamurę, na kremację Toofy'ego w miejscu, o którym już wspominałem. Popioły ulubieńców zwracano ich właścicielom w urnach, albo zamuroywano je w specjalnej dla tego celu ścianie, pełnej różnych dat i napisów.

Ku mojemu zdziwieniu, którego po sobie nie okazałem, Omietański oświadczył mi, że swoim samochodem będzie mi towarzyszył na miejsce kremacji Toofy'ego. Powiedziałem mu „proszę bardzo” i ruszyliśmy. Przy wyjeździe z bramy kamery zebranych pod ambasadą dziennikarzy były w ruchu, gdyż myśleli, że... są świadkami mojej ucieczki!

Po przybyciu na miejsce weszliśmy do specjalnej sali-poczekalni, gdzie po raz ostatni wyniesiono nam zwłoki Toofy'ego...Ostatnie pożegnanie... Ponieważ kremacja miała trwać dwie godziny, więc opuściliśmy pomieszczenie, wychodząc do innego, gdzie w międzyczasie rozmawiałem z Omietańskim jakby nigdy nic. Prawdę mówiąc, jeśli myślał, że swoją obecnością mógłby przeszkodzić mojej ucieczce, to się mylił. Miałem szybszy samochód od Omietańskiego, a ponadto mogłem polecić Nakamurze „zgubić” go gdzieś po drodze, co zapewne łatwo uczyniłby.

Kremacja wreszcie dobiegła końca i odebraliśmy urnę z prochami Toofy'ego (którą ciągle pieczołowicie przechowujemy w naszym mieszkaniu).

Po kremacyjnej ceremonii wróciliśmy do ambasady. Teraz mogliśmy już uciekać, ale jak? Różnych planów miałem wiele, ale *żaden* nie był dobry. Poza oszczędnościami, które już wcześniej wycofałem z banku, biżuterią Niuni i Ewy, chcieliśmy jeszcze zabrać niektóre inne pamiątkowe i przydatne rzeczy. Wiedzieliśmy, że tracimy wszystko nie tylko w Warszawie, ale także w Tokio, gdzie nasza własność osobista była całkiem pokaźna. W ostateczności gotów byłbym uciec tylko, jak się to mówi, z rękami w kieszeni, ale jeśli by można uczynić to jakoś

inaczej, to z góry z niczego nie rezygnowałem.

Po raz któryś z rządu los sprawił mi ponownie miłą niespodziankę. Utwierdza mnie to tylko w przekonaniu, że jak coś ma się stać, to się stanie!

W Yokohamie, z polskiego statku handlowego *Phenian*, zeszło bowiem na ląd 16-tu członków załogi, którzy poprosili władze japońskie o azyl polityczny, nie wiedząc, że było to niemożliwe, gdyż Japonia nie udzielała go nikomu. Tyle tylko, że władze japońskie nie próbowały siłą odstawić niedoszłych azylantów na pokład statku. Bez nich z kolei, statek nie mógł odплыć. Wobec tego japońskie MSZ zwróciło się do mnie z prośbą o pomoc w rozwiązaniu nagle wybuchłej sprawy. Prośby tej uczepiłem się jak tonący brzytwy...

Poleciłem mianowicie Omietańskiemu i Piotrowi Lępkowskiemu, II Sekretarzowi do spraw administracyjno-konsularnych, udać się do Yokohamy drugim z moich służbowych Mercedesów, z Nakamurą jako kierowcą, żeby jakoś rozstrzygnęli sprawę na miejscu. No i pojechali! W ten sposób trafiła mi się nieprzewidziana szansa opuszczenia ambasady w dzień, koło południa. Niuni powiedziałem, żeby przygotowała najniezbędniejsze rzeczy do wzięcia i sama przygotowała się do wyjścia pieszo, niby do pobliskiego fryzjera (którego zresztą w pobliżu nie było). W rzeczywistości, Niunia miała na nas czekać niedaleko, przy budynku z otwartym latem basenem publicznym. Z kolei ja z Ewą, po załadowaniu niektórych osobistych rzeczy do samochodu, mieliśmy pod pretekstem jazdy do pralni chemicznej, spotkać się z Niunią po około godzinie. Następnie wszyscy razem mieliśmy udać się do ambasady USA.

Po tej naszej rozmowie, udałem się do gabinetu, gdzie już czekał na mnie Cyrankiewicz, jak zwykle gotów do długich rozmów. Za chwilę jednak zadzwoniła Niunia, prosząc mnie o natychmiastowe przyście do rezydencji. Zaniepokojona powiedziała mi, że do garażu weszły jakieś dryblasy, może Ruscy z ambasady? Wiadomość była rzeczywiście niepokojąca wobec czego postanowiłem ją osobiście sprawdzić, udając się do otwartego garażu. Zobaczyłem w nim p. Helenę, żonę radcy Skowrona, sprzedającą wódkę ze sklepiku, działającego przy ambasadzie. Koło niej istotnie stały jakieś dryblasy, ale mówiące po polsku... Nie wiedziałem kim byli, ale wyjaśniło się, że pracują w cyrku, który z Niunią przyleciał do Tokio w lipcu! Do ambasady przyszli kupić parę butelek wódki na Święta Bożego Narodzenia. Ucieszyłem się z tego odkrycia

niezmiernie i sam kupiłem butelkę wódki, rzecz raczej niecodzienna, gdyż w magazynie miałem jej pełno do swojej dyspozycji, ale podpita już p. Helena nie wzięła tego za nic nienormalnego i zainkasowała należność za nabyty towar.

Po tym zakupie powróciłem do rezydencji z pomyślnymi wiadomościami, a następnie zszedłem na dół do p. Władysława prosząc go o klucze do samochodu. Powiedziałem mu, że córka załaduje do bagażnika rzeczy do pralni, sam z nią pojedę i wrócę koło 13-tej. Jeśli bym się chwilę spóźnił, to niech do mojego pokoju recepcyjnego w rezydencji wpuści p. Motojiro Mori, przewodniczącego Towarzystwa Przyjaźni Japońsko-Polskiej, który miał mi złożyć wizytę. Jako socjalista, p. Mori, mówiący nieco po polsku, z czasów, kiedy był dziennikarzem w przedwojennej Warszawie, był wielkim entuzjastą Polski, ale tej ludowej (o sanacyjnej źle mówił).

Teraz wreszcie mogłem już powrócić do gabinetu i zająć się Cyrankiewiczem.

- Przepraszam Józek - powiedziałem mu - ale żona szykuje się do fryzjera, Ewa przygotowuje rzeczy do pralni, a więc trochę zabrało mi to czasu.

Cyrankiewicz przyjął moje wyjaśnienia za dobrą monetę, zaczęliśmy rozmawiać jak zwykle o tym i o owym, ale siedziałem jak na przysłowiowych szpilkach. Za chwilę znów go przeprosiłem, że muszę Niunię o coś zapytać przed jej wyjściem do fryzjera. W rezydencji nie było jednak nikogo! Z okna tylko zauważyłem, że Niunia, wyglądająca na kopę siana, jako że ubrana była w dwa futra, z kuferekiem i torbą w rękach wychodziła przez furtkę...

Ale gdzie Ewa? Odpowiedź wkrótce nadeszła, kiedy wraz z p. Władkiem powróciła z garażu po następną partię wypchanych toreb papierowych. Jak się okazało, usłużny p. Władek postanowił Ewie pomóc z ładowaniem toreb do bagażnika. Trochę mnie to zaniepokoiło, ale nawet dobrze się stało, gdyż będąc w garażu nie zauważył wychodzącej Niuni, ubranej jak na biegun północny.

Z ilości toreb do zabrania zorientowałem się, że zaraz trzeba będzie odjeżdżać, ale jeszcze powróciłem do gabinetu i znów wszcząłem przerwana z Cyrankiewiczem rozmowę.

Spojrzałem na zegarek. Mijało południe. Znów przeprosiłem Cyrankiewicza, przyrzekając powrót za chwilę. Ewa zносиła z p. Władkiem już chyba ostatnie torby. Uderzyło

mnie, że p. Władek był jakiś dziwnie blady, co wziąłem za złą oznakę. Tonem rozkazującym poleciłem mu więc otworzyć bramę, Ewie, chcącej jeszcze biec po jakąś torbę, wskazałem miejsce w samochodzie, zapaliłem silnik i wyjechałem z ambasady. Dziennikarze, którzy stali przed nią od rana, poszli coś zjeść i tylko policjant mundurowy oraz dwaj cywilni agenci, którzy wreszcie zjawili się po niewczasie, kręcili się przed ambasadą. Na wyjeżdżający wóz nie zwrócili nawet uwagi, jako że na jego masce nie powiewała biało-czerwona chorągiewka, czyli ambasador nie uciekał...

Opuszczając ambasadę nie zabrałem z szafy pancерnej ani grosza z mojego funduszu reprezentacyjnego w jenach, wynoszący w przeliczeniu na dolary ok. 2,5 tys. dol. (ze względu na ciężką sytuację w kraju gospodarowałem nim bardzo oszczędnie). Tracąc całe nasze mienie, od umeblowanego domu i kont złotowo-dewizowych w Warszawie poczynając, a na licznych dobrach pozostawianych w Tokio kończąc, nie chciałem żadnej rekompensaty z państwowej kasy. Były to pieniądze formalnie państwowe, ale faktycznie własność społeczeństwa, które na nie ciężko zapracowało.

Dojechaliśmy do basenu i zastaliśmy półżywą ze strachu Niunię, która nie widząc nas o umówionym czasie, doszła do wniosku, że zostaliśmy siłą zatrzymani w ambasadzie i już zbierała się tam powrócić! Przyjechaliśmy więc w ostatniej chwili. Jeszcze trochę i mogliśmy się gdzieś rozminąć po drodze...

Drogi do ambasady USA nie znałem, ale złapałem taksówkę i łamanym japońskim powiedziałem kierowcy „Amerika taisikan!” czyli „Ambasada amerykańska”. Zrozumiał. Jechaliśmy za nim i po ok. 20 minutach przybyliśmy pod ambasadę USA. Szlaban poszedł w górę. Ruszyłem. Od tego momentu byliśmy prawnie na terytorium Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. I jak to już wspominałem, zajechałem przed obrotowe drzwi wejściowe ambasady. Wysiedliśmy z samochodu i już nie będę powtarzał co wtedy powiedziałem do Niuni i Ewy, gdyż wspominałem o tym na początku mojej ucieczkowej opowieści.

Ten mój krok, czyż przyszedł mi tak względnie łatwo jak to teraz opisałem?

Skądże! Ani wtedy, kiedy krok ten stawiałem, jak też jeszcze długo potem.

Przede wszystkim - o czym już częściowo wspominałem - po wprowadzeniu stanu

wojennego *nie wyobrażałem* sobie dalszego pobytu w PRL. Rozbrat duchowy z jej systemem wzięłem już dawno. Nie wierzyłem też, że partia może cokolwiek rozwiązać ze stojących przed nią wyzwań, a jeszcze mniej wierzyłem WRON, Wojskowej Radzie Ocalenia Narodowego. Stawiając się ponad partią, WRON była przecież *jeszcze bardziej* od niej posłuszna Moskwie. A w dobre intencje Moskwy wobec Polski nie wierzyłem już od dawna. WRON niczego więc nie rozwiązywała, a wszystko komplikowała.

Ponadto, mając głębokie przekonanie, że stan wojenny był pomysłem Moskwy (co zresztą przyznaje sam Jaruzelski w swojej książce *Stan wojenny dlaczego...*, pisząc jak to w dniu 27 marca 1981 r. przyleciała do Warszawy radziecka delegacja z Naczelnym Dowódcą wojsk Układu Warszawskiego marszałkiem Wiktorem Kulikowem na czele, z gotowym planem wprowadzenia stanu wojennego (z którego jakoby Jaruzelski nie skorzystał). Wiedziałem przecież, że Moskwa zawsze coś wymyśli, co uzna dla niej za wygodne, a Warszawa będzie *musiała* wykonać jej wolę. Chyba, że miałyby swoje zdanie i umiała je konsekwentnie bronić. Do tego jednak było konieczne choćby minimum *jedności* w łonie kierownictwa państwowego, zwłaszcza kierownictwa partyjnego.

Jedność taka jednakże, rzecz oczywista, zawsze tworzy się wokół kogoś i czegoś. Władysław Gomułka na przykład, ze względu na swoją osobowość i zawód, jakiego doznał od wielu swoich najbliższych współpracowników, kiedy to w 1948 r. odsuwano go od kierowania PPR za „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne”, nie umiał stworzyć wokół siebie grona oddanych mu ludzi. Spośród członków BP pełnym zaufaniem darzył jedynie Zenona Kliszkę i Ignacego Logę-Sowińskiego, co było stanowczo zbyt wąskim gronem dla sprawowania efektywnej kontroli nad partią i państwem. Często też średnie i niższe szczeble władzy były niezwykle ważne dla osoby Nr 1 w partii i państwie, których Gomułka już zupełnie nie potrafił pozyskać sobie. Kierownik Kancelarii Sekretariatu KC Stanisław Trepczyński, człowiek bystry i inteligentny, Gomułce tylko na pozór był wierny, co okazało się w czasie wypadków grudniowych w 1970 r. Walery Namiotkiewicz z kolei, osobisty sekretarz Gomułki, nie tylko nie był nawet członkiem PZPR, kiedy trafił na to stanowisko, ale w ogóle nie wiadomo jak to stało się, że je objął. Z pewnością był w tym palec MSW, a może nawet Moskwy, gdyż Gomułka

przedtem nie znał ani Namiotkiewicza, ani jego rodziców. Na ile Namiotkiewicz mógł się przyczynić do upadku Gomułki tego nie wiem, ale wiem (znałem go dobrze), że był z tego rad, a i wkrótce awansował w aparacie partyjnym.

Gierek wreszcie, który objął schedę po Gomułce, również nie umiał stworzyć wokół siebie grona zaufanych mu ludzi. W BP, co sam potem przyznał, zawiódł się niemal na każdym, komu wierzył. Tak samo było na niższych szczeblach. Jerzy Waszczuk, jego długoletni sekretarz osobisty, a następnie kierownik Kancelarii Sekretariatu KC, od początku miał jakieś pokątne kontakty, najczęściej z „radzieckimi towarzyszami”, szczególnie wspomnianym już Kostikowem, a ponadto miał daleko idące ambicje własne i kto wie gdzie zaszedłby, gdyby nie wydarzenia Lata 80. Zupełnym też niewypałem był mój następca, prof. Paweł Bożyk, doradca ekonomiczny Gierka, który nie tylko nie ostrzegał go przed różnymi wygłupami, jak to było na przykład z podwyżkami cen komercyjnych na niektóre wyroby mięsne w lipcu 1980 r., ale najprawdopodobniej sam dołożył do nich ręki. Gierek zresztą sam był sobie winien. Jego wyniosłe zachowanie i przeświadczenie o swojej genialności, wraz z ograniczoną wiedzą i elementarnym brakiem poczucia rzeczywistości, nie zapraszały więc jego najbliższych współpracowników do wiernej mu służby. A już z pewnością ja do takiego grona nie mógłbym należeć. Wolałem od Gierka odejść, niż po kreciemu go podkopywać (do czego miałem wiele okazji, a nawet niedwuznacznych sugestii).

Stanisław Kania, następca Gierka, osoba od początku uważana za przejściową na stanowisku przywódcy PZPR, choć niewątpliwie brat-lata, otoczony gronem zaufanych współpracowników, nie miał cech przywódczych. Równocześnie jednak niezwykle przebiegły i zręczny intrygant, a nade wszystko oddany bez reszty „towarzyszom radzieckim”, nawet im musiał chyba wydawać się zbyt prymitywnym, żeby chcieli go widzieć długo na nowym stanowisku.⁵ Inni potencjalni następcy Gierka, jak Stefan Olszowski, Kazimierz Barcikowski i

⁵ Będąc w Warszawie w dniu 19 czerwca 1981 r., o godz. 9:30, zostałem przyjęty na 20-minutowej audiencji przez Kanię. Zналиśmy się już nieco w przeszłości i mieliśmy ze sobą poprawne stosunki, więc rozmowę mieliśmy bardziej przyjacielską niż merytoryczną. Stojące na stoliku lampki do koniaku Kania napelnił po brzegi i swoją wypił jednym łykiem... A ponieważ nie poszedłem w jego ślady, więc swoją pustą lampkę znów napelnił koniakiem, ale teraz nie wypił jej jednym haustem. Nie bardzo wiedział o czym ze mną rozmawiać (choć chwalił mnie za działalność w Tokio), a na moje niektóre pytania

Józef Tejchma, jakoś Moskwie „nie leżeli”.

Na placu boju pozostawał więc Jaruzelski. Miał z całą pewnością wszelkie dane po temu, żeby objąć wcześniej czy później najwyższe stanowiska państwowe i partyjne, ale wykazywanie pośpiechu widocznie Moskwie było nie na rękę. Wiedziała przecież doskonale, że i tak zrobi go kim zechce, ale w najlepszym dla siebie czasie. Byłoby jej bowiem niezręcznie przesunąć ministra obrony narodowej na stanowisko przywódcy partii. Nie czyniła tego u siebie i nie chciała czynić w tzw. bratnich krajach. Co innego, gdyby taki minister najpierw uzyskał jakieś cywilne stanowisko w państwie, na przykład urząd premiera, to wtedy przesunięcie go na szefa partii mogło wyglądać już bardziej normalnie.

Decydując się na to, Moskwa doskonale zdawała sobie sprawę, że tego rodzaju ruch kadrowy ma szereg *pozytywnych* stron z punktu widzenia jej interesów. Minister obrony narodowej w „bratnim kraju” był bowiem człowiekiem, który miał *najmniej* koneksji w partyjno-państwowym aparacie władzy. W wojsku natomiast, Moskwa tak ustawiała kadry kierownicze, żeby *nikt* nie był ze sobą zbyt blisko. Przeciwnie, zależało jej na tym, żeby każdy ich członek nosił przysłowiową buławę marszałkowską w plecaku, co przy jej misternie tkanych intrygach z góry wykluczało powstanie zwartej i lojalnej wobec siebie grupy wyższych oficerów.

W przypadku Jaruzelskiego, który raptem zaczął robić karierę na odcinku cywilnym, najpierw jako premier, a następnie I Sekretarz KC PZPR, było to szczególnie widoczne. Wśród cywilów, którzy znaleźli się w jego najbliższym otoczeniu, był jedynie Mieczysław Rakowski, najpierw wicepremier, potem premier, a wreszcie następcą Jaruzelskiego na stanowisku I Sekretarza KC. Nigdy jednak nie było jasne, czy Rakowski zaliczał się do grona zaufanych Jaruzelskiego czy też chodził swoimi drogami, a Jaruzelski musiał to tolerować. Innym i bardziej zagadkowym cywilem, który znalazł się w bliskim otoczeniu Jaruzelskiego, był Wiesław Górnicki. Dziennikarz z zawodu, akredytowany m. in. w USA (gdzie go poznałem), był z całą pewnością powiązany ze służbami specjalnymi PRL, najprawdopodobniej z Z-II. I oto raptem, 13 grudnia 1981 r., Górnicki, mając jedynie stopień porucznika rezerwy, zostaje awansowany na

odpowiadał w roztargnieniu. W końcu przeprosił mnie, że musi śpieszyć się na rozpoczynające się właśnie posiedzenie BP...

majora i umiejscowiony w otoczeniu Jaruzelskiego najpierw w jego biurze prasowym, a potem, w stopniu podpułkownika, na sekretarza stanu. Na ile stało się to za sprawą samego Jaruzelskiego, a na ile Górnickiego - tego nie wiem. Z tego co napisał potem sam Górnicki w swojej książce pt. *Teraz już można*, był on oddanym bez reszty podwładnym Jaruzelskiego, ale czy tak było naprawdę nie jestem pewien. O Górnickim szeptano bowiem, że zaniedbywał żonę, gdyż miał tzw. odwrócone zainteresowania. O Jaruzelskim też tak zresztą szeptano, dokąd dość późno nie ożenił się. A więc co złożyło się na to, że dwaj ludzie dawniej sobie nieznani, raptem zostali bliskimi współpracownikami przez dziewięć lat - pozostanie już na długo tajemnicą.

Czyż więc Jaruzelski nie miał naprawdę w swoim najbliższym gronie kogoś, kogo mógłby darzyć najwyższym zaufaniem? Otóż z tego co wiadomo osobą taką był gen. Michał Janiszewski, szef gabinetu ministra obrony narodowej, następnie szef Urzędu Rady Ministrów, kiedy Jaruzelski został premierem, a wreszcie szef Kancelarii Przewodniczącego Rady Państwa, po tym jak Jaruzelski objął stanowisko formalnej głowy państwa.

Poza tym, o ile dziś wiadomo, Jaruzelski był, czy to w wojsku czy potem na cywilnych stanowiskach, względnie *osamotniony* i nie bardzo jest pewne, czy wynikało to z jego niechęci do poszerzania grona oddanych mu ludzi czy wynikało to z innych przyczyn. W wojsku był nielubiany (nazywano go „paniczykiem”). W stosunku do podwładnych był bezwzględny za byle jakie przekroczenie (szczególnie za potajemne śluby i chrzty), a w dobrych koleżeńskich stosunkach nie był nawet z najbliższymi mu służbowo współpracownikami. Wiadomo było natomiast, że *bardzo ściśle* kontakty utrzymywał z „towarzyszami radzieckimi”, zarówno z tymi, którzy pełnili różne funkcje w Polsce, jak też w ZSRR. Stąd też, czego wielokrotnie byłem sam świadkiem, w czasie posiedzeń BP Jaruzelski siedział sztywny i patrzył gdzieś w górę, niemal demonstrując swoje znudzenie. Odezwał się - w mojej obecności przynajmniej - tylko dwukrotnie. Raz krótko, referując wojnę hindusko-pakistańską w grudniu 1971 r, a drugi raz przy okazji dyskusji nad reformą administracyjną kraju. Zaproponował wtedy, żeby słowo „wójt” zastąpić jakimś innym, gdyż wielu odchodzących z wojska oficerów, którzy reflektowaliby na to stanowisko, uważa je za pejoratywne („wójta” zamieniono w rezultacie tego na „naczelnika gminy”). Po zakończeniu posiedzenia BP szybko wychodził, nie wdając się z

nikim w rozmowy, a w przerwach pomiędzy posiedzeniami, w czasie drugiego śniadania, też nie zabierał głosu, choć inni wokół stołu perorowali bez końca. Nic dziwnego więc, że mówiono o nim, że „Wojtek ma nastawioną antenę na Moskwę i tylko jej słucha”...

Idąc więc do Jaruzelskiego na 90-minutową rozmowę po południu 22 czerwca 1981 r., szedłem na nią z mieszanymi uczuciami. Jaruzelskiego jako tako już znałem z doradztwa u Gierka, a raz w jego sekretariacie odbył ze mną jakby przyjacielską rozmowę. Miałem więc prawo myśleć, że teraz potraktuje mnie nie mniej przyjaźnie, a może nawet bardziej, jako że w międzyczasie doszedłem wyżej w hierarchii władzy.

Z drugiej strony nie byłem jednak wcale pewien dobrego przyjęcia przez Jaruzelskiego. Janek Czapła, wówczas wiceminister spraw zagranicznych, a w przeszłości zastępca szefa Głównego Zarządu Politycznego w stopniu generała dywizji, na wieść, że idę do Jaruzelskiego wręcz ostrzegł mnie, żebym był przygotowany na złe przez niego przyjęcie.

- Facet jest roztrzęsiony, podobno nosi się nawet z zamiarem samobójstwa, a w ogóle, to sam nie wie czego chce i kto wie czego po nim można się spodziewać.

Podobną opinię uzyskałem też od Zbyszka Madeja, wówczas pełniącego obowiązki przewodniczącego Komisji Planowania. Właśnie składałem mu wizytę, kiedy Jaruzelski do niego zadzwonił, pytając o jakieś dane statystyczne. Zbyszek mu je podał, ale Jaruzelski rozmowy nie skończył i zamęczał go nowymi pytaniami. A kiedy ją skończył po dwóch godzinach, to Zbyszek nie mógł się powstrzymać, żeby nie wyrazić swojej opinii o Jaruzelskim:

- Stary po prostu zwariował! Po co mu to wszystko? Ciągle o coś pyta, nic potem z tego nie wychodzi w praktyce, a on dalej swoje. Oj, goni on w piętę...

Jeszcze bardziej miarodajną opinię o Jaruzelskim usłyszałem na parę dni przed spotkaniem z nim od gen. dyw. Edwarda Poradko, szefa Zarządu II. Poradko był mi wyraźnie bardzo przychylny i raz w Tokio otrzymałem od niego wiadomość, że Jaruzelskiemu *nie podobają się* niektóre moje depesze. Prosił mnie więc, żebym był z nimi ostrożny na przyszłość. Bardzo mu byłem za to wdzięczny, ale tym razem Poradko do tej sprawy w rozmowie ze mną nie powrócił, a natomiast powiedział mi parę innych ciekawych rzeczy, które dały mi sporo do myślenia, mówiąc mianowicie, że:

- Są obawy, iż gdyby doszło do interwencji zbrojnej Układu Warszawskiego w Polsce, to pomijając już jej zapewne krwawy przebieg, część naszego terytorium moglibyśmy wtedy utracić na rzecz NRD i Czechosłowacji. Może więc stan wojenny jest lepszy w tej sytuacji? Powiedźcie mi też, dlaczego USA zależy na przelewie krwi w Polsce?

Zaczynając od drugiego pytania odpowiedziałem, że w Tokio nie zaobserwowałem, żeby Amerykanom zależało na przelewie krwi w Polsce, ale mogę się mylić, gdyż co innego Tokio, a co innego Waszyngton.

Co się zaś tyczy stanu wojennego, to przyznaję, że argument Generała trafił mi do przekonania, zwłaszcza kiedy dodał, że na rzecz NRD moglibyśmy utracić Szczecin, a na rzecz Czechosłowacji Dolinę Kłodzką.

- Ale może stanu wojennego da się uniknąć? - zapytałem.

- Tego nie jestem pewien, ale byłby on z pewnością lepszy od interwencji zbrojnej państw Układu Warszawskiego...

Co mnie natomiast zupełnie zaskoczyło, to to, że Poradko, wiedząc o czekającej mnie wizycie u Jaruzelskiego, poradził mi *nie pytać* go, kiedy i czy w ogóle będzie wprowadzony stan wojenny. Rada zabrzmiała mi na ostrzeżenie i choć dotknęła mnie ona niemile, to zasłyszana przestrozę potraktowałem jak najbardziej poważnie i postanowiłem się do niej w pełni zastosować. Jaruzelski może już wiedział, że pytałem wielu swoich rozmówców o możliwość wprowadzenia stanu wojennego i widocznie bardzo mu się to nie podobało. Czyżby myślał, że chcę dowiedzieć się ściśle strzeżonej tajemnicy państwowej? - przemknęło mi przez myśl. A w końcu *kim* naprawdę był Jaruzelski? Życiorysu jego wtedy tak dokładnie nie znałem jak dziś, ale było dla mnie oczywiste, że pomimo swojego tzw. klasowego pochodzenia i utraty ojca w ZSRR, musiał on cieszyć się w Moskwie wielkim zaufaniem. Inaczej ani tak szybko nie awansowałby w wojsku, ani nie byłby nagradzany najwyższymi w nim stanowiskami. Moskwa zresztą lubiła ludzi z hakami, gdyż tacy dwoili się i troili, żeby ją przekonać o swojej prawomyślności i lojalności, a Jaruzelski, sądząc po tempie jego kariery w wojsku, tak właśnie musiał postępować. Pocieszałem się tylko, że może jest jakimś Konradem Wallenrodem i swoje prawdziwe oblicze ujawni kiedyś, a teraz może lepiej dla niego i dla polskiej sprawy, że jest

enigmą.

Dlatego też do czekającej mnie rozmowy z Jaruzelskim przykładałem tak wielką wagę. Od niej bowiem zależało, czy zerwę z PRL czy nie. Nie szedłem na nią z biciem serca, ale też byłem niezwykle czujny i nawet przygotowany na to, że w zależności od jej wyniku do Tokio mogę już nie powrócić. Nie tylko wcale by mnie to nie zmartwiło, ale nawet postanowiłem poprosić Jaruzelskiego o ... odwołanie mnie z Tokio i powierzenie mi w kraju jakiegoś innego i moim zdaniem pożyteczniejszego stanowiska!

Jaruzelski przyjął mnie punktualnie, ale jak to zaraz zauważyłem - niezwykle chłodno. Posadził mnie przy swoim biurku, prawie na mnie nie patrząc i nerwowo obracając ołówkiem w palcach. Chwilę milczał, jakby nie wiedząc od czego zacząć, ale raptem warknął:

- No mówcie, proszę.

Nie spieszony taką odzywką, zacząłem zwięźle referować stan spraw polskich w Japonii, bardzo daleki od zadawalającego, zwłaszcza na odcinku gospodarczym, gdyż nasz eksport nie miał tam niemal nic do zaoferowania, podczas gdy importować mogliśmy niemal wszystko i to po konkurencyjnych cenach.

Nie słysząc żadnego pytania przeszedłem do innych spraw. Polska - podkreśliłem - cieszy się ostatnio w Japonii bardzo dużym zainteresowaniem, ale nie stwierdziłem, żeby Japonia brała wyraźnie jedną ze stron w naszym wewnętrznym sporze. Raczej zainteresowana jest w pokojowym uregulowaniu konfliktu i oczywiście wyłącznie przez samych Polaków....

- Co z Chinami?- zapytał raptem Jaruzelski.

- Na razie stosunki chińsko-japońskie zdominowane są przez sprawy gospodarcze i tak chyba jeszcze długo pozostanie, sądząc przynajmniej z tego co się o nich mówi i pisze...

Jaruzelski dalszych pytań nie miał, ale nie dawał mi też do zrozumienia, że rozmowa jest już skończona. Obracał w palcach ołówek, stukając nim w blat biurka, w którym miał utkwiony wzrok. Milczał, jakby zastanawiając się co ma dalej począć. W międzyczasie oficer postawił mu na biurku szklanekę herbaty, którą Jaruzelski zaczął powoli pić, nie pytając, czy również i ja nie chciałbym się czegoś napić.

Żeby przerwać kłopotliwe milczenie, krótko zreferowałem mu przebieg majowej wizyty

delegacji *Solidarności* w Japonii, skarżąc się przy okazji, że nikt mnie przedtem o niej nie uprzedził, co postawiło mnie w trudnej sytuacji. W tym momencie Jaruzelski jakby się ożywił, ale milczał dalej, wobec czego powiedziałem, że delegacja nie wywarła na mnie dobrego wrażenia, że są to jeszcze ludzie bardzo zieloni i że tylko Władysław Frasyniuk zrobił na mnie lepsze wrażenie od pozostałych członków delegacji. Zauważyłem, że informacja ta zaciekała Jaruzelskiego i zachęcony tym nadal kontynuowałem ten temat, kończąc go mniej więcej tak:

- Towarzyszu Generale, w Tokio nie bardzo co jest robić i chętnie bym powrócił do kraju do jakiejś innej pracy. Może mógłbym być w czymś pomocny w stosunkach z Solidarnością. Z ludźmi tymi da się rozmawiać i można im wiele rzeczy wytłumaczyć...

Jaruzelski spojrzał na mnie jakoś dziwnie i zachichotał na cały głos cienkim dyszkancikiem, coś jakby kobiecym głosem, opluwając moją twarz kropelkami śliny...

Zrozumiałem, że propozycję moją uznał za głupi wręcz żart. Tego mi nie powiedział, ale pomyślałem sobie, że gdyby chciał, to powiedziałby mniej więcej tak:

- Człowieku, co ty pleciesz? Od kontaktów z Solidarnością mamy odpowiednich ludzi, którzy wiedzą czym ona jest i jak z nią rozmawiać! Nikt z zewnątrz nie jest nam do tego potrzebny!

W pewnym momencie opanował się jednak, przybierając marsową minę i jakby dał mi do zrozumienia, żebym mówił dalej.

Zacząłem więc kolejny temat, ale w tym momencie zjawił się w gabinecie wicepremier Mieczysław Rakowski, serdecznie witając się ze mną.

- Może wystąpilibyście w telewizji - Rakowski zwrócił się do mnie - i coś powiedzieli o japońskiej gospodarce...

- No właśnie, ciągle jakoś nie widzę w Polsce tej Japonii, o której Solidarność tyle opowiada! - wtrącił Jaruzelski i znów głośno zachichotał.

- Gdzie tam Polsce do Japonii. Ma kapitał, technologię, nie ma długów, a ludzie dłużej pracują niż w Polsce... - ja z kolei wtrąciłem.

- To właśnie powiedzcie ludziom w telewizji - dorzucił Rakowski.

W tym momencie Jaruzelski wstał od stołu, kończąc naszą rozmowę. Zrozumiałem też,

że pomysłu Rakowskiego mojego wystąpienia w telewizji nie poparł. Na pożegnanie, jakby od niechcenia, Jaruzelski podał mi rękę, pozostając z Rakowskim w gabinecie.

Z rozmowy z Jaruzelskim wyniosłem olbrzymi niesmak. Nie tak ją sobie wyobrażałem. Jeśli miał do mnie pretensje, a dziś wiem, że z pewnością je miał i może nawet powziął już decyzję odwołania mnie z Tokio, to tego w oczy mi nie powiedział. A może nawet powiedziałby, ale słysząc moją chęć powrotu do kraju został tym zbity z tropu. Jeśli podejrzewał - pewnie w oparciu o radzieckie informacje - że coś knuję i mogę nawet zdezerterować z placówki w przypadku ogłoszenia stanu wojennego, to mógł zachwiać się w podjęciu decyzji zatrzymania mnie w kraju skoro sam chciałem do niego wracać! Może uznał w tych okolicznościach radzieckie podszepty za bezpodstawne?

A jeśli tak nawet nie myślał, a uważał, iż zbyt nieostrożnie postępuję w Tokio, co sprawia mu kłopoty z radzieckimi towarzyszami, to mógł mi przecież powiedzieć to mniej lub więcej otwarcie. Wiedział zapewne, choćby jako b. szef Sztabu Generalnego, że byłem jego oficerem:

- Towarzyszu Rurarz, jesteście daleko od kraju i zapewne nie wszystko co się w nim dzieje rozumiecie, więc proszę Was bardzo bądźcie bardziej ostrożni. Sami wiecie, że wszyscy na nas patrzą co mówimy i robimy, nie zawsze nas rozumiejąc, ale przynajmniej my nie dajmy nikomu podstaw do żadnych podejrzeń. Wierzcie mi, że dobro naszego kraju leży mi głęboko na sercu i jego interesy stawiam ponad wszystko. A teraz wracajcie do Tokio i pamiętajcie co Wam powiedziałem. Żyjemy w niełatwych dla Kraju czasach i liczę na to, że właściwie mnie rozumiecie. Odmeldujcie się!

Gdyby tak Jaruzelski powiedział mi, to pomimo moich wielu wątpliwości wierzyłbym mu, że robi co może i że jeśli nawet sięgnie do stanu wojennego, to będzie on *mniejszym* złem od ewentualnej interwencji radzieckiej.

Poza tym, rzecz dla mnie nie bez znaczenia, zachowanie się Jaruzelskiego w rozmowie ze mną nijak nie licowało z zachowaniem się wielu wysokich rangą oficerów Ludowego Wojska Polskiego, z którymi przyszło mi się w życiu stykać. Byli oni co prawda „ludowi”, ale w swoich stosunkach z podwładnymi mieli głęboko zakorzenione najlepsze tradycje oficerów polskich. Taki na przykład płk. Tadeusz Jedynak (później generał dywizji), we wrześniu 1956 r. pełniący

obowiązki szefa Z-II, z pewnością nigdy nie zwerbowałby mnie na swojego oficera, gdyby zachowywał się jak Jaruzelski! Tadek jednakże (poznałem go w Korei i byliśmy na „ty”) był w całym tego słowa znaczeniu oficerem polskim! Z poczuciem humoru, ale stanowczy, bardzo koleżeński i niezwykle miły w obejściu - budził z miejsca sympatię i zaufanie do siebie. Takim też był ppłk. Piotr Lewkowicz, dowódca 3 Berlińskiego Pułku Piechoty 1 DP, gdzie w 1955 r. byłem dowódcą plutonu na ćwiczeniach letnich w Czerwonym Borze. Był wymagający, ale jednocześnie, jak się to mówi, dusza chłop. Takich oficerów, za którymi naprawdę można byłoby pójść w ogień, znałem wielu. Jaruzelski, choć był w czasie wojny oficerem liniowym, jakoś dziwnie nie pasował mi do tego wizerunku oficera polskiego. Charakter, czy może jakieś inne względy, uczyniły z niego aż nadto widoczny kontrast w porównaniu z innymi. Stąd też, po wyjściu z rozmowy z Jaruzelskim, miałem olbrzymi niesmak. Za takim dowódcą *nie poszedłbym* w ogień... A więc ogłoszenie przez niego stanu wojennego przyjąłem jak najgorzej.

Czy musiał zdobyć się na ten krok? Ratował naród przed interwencją radziecką - jak to potem twierdził - czy własną głowę, albo może tylko stanowisko? Moskwa stawiała przeciw na niego, pomagając mu w błyskawicznej karierze w LWP. No i teraz odwdzieczył się jej! Dla Moskwy było to o tyle cenne, że rozkaz jej wykonał człowiek, który według wszelkich oznak na niebie i ziemi *nie powinien* go wykonać! Klasowo obcy, jak się to mówiło, zesłany z rodziną w głąb ZSRR, ale w końcu walczący w szeregach stworzonego przez Moskwę polskiego wojska, Jaruzelski całym sercem przyłgął do takiego właśnie wojska! To, że walczył z Niemcami w szeregach tego wojska, należy mu zapisać na plus. Ale dyskusji może podlegać kwestia, czy musiał pozostawać w nim po wojnie. Przecież mógł pójść na studia czy podjąć się jakiegoś innego zawodu, a nie szukać kariery wojskowej. Skoro jednak zdecydował się na pozostanie w wojsku, to ze swoim pochodzeniem musiał dwoić się i troić, żeby wykazać swoją prawomyślność. Musiał też zapewne, jako „niepewny element”, współpracować z polskimi i radzieckimi służbami specjalnymi, a to *nie mogło* nie spaczyć jego charakteru.

Jakkolwiek z Jaruzelskim naprawdę było, po rozmowie z nim utwierdziłem się w przekonaniu, że z człowiekiem tym *nic* mnie nie łączy. Wiązanie więc dalszych moich losów z tym człowiekiem uznałem za bezcelowe. Utwierdzenie się w tym poglądzie wzięło się jeszcze

stąd, że byłem już teraz przekonany, że Jaruzelski musiał się dobrze wysługiwać Moskwie, gdyż po objęciu funkcji premiera w lutym 1981 r. już zaczęto szeptać, co docierało do mnie do Tokio, że na tym nie będzie koniec i wkrótce zastąpi też Kanię na stanowisku przywódcy partii. I tak się istotnie stało w październiku tegoż roku.

W takim razie, a wydarzenia wkrótce to potwierdziły, Jaruzelski był w moich oczach z *góry* przekreślony jako kandydat na polskiego Wallenroda, co teraz próbują twierdzić różni Paczkowscy. Na tym nie kończyły się moje rozważania o Jaruzelskim.

Stojąc na czele 450-tysięcznej armii - rozumowałem już dawniej - Jaruzelski był w PRL na pierwszy rzut oka *najpotężniejszą* figurą. W rzeczywistości jednak, sprawa jego ważności była o wiele bardziej złożona. Podległe mu formalnie wojsko, tak naprawdę było mu tylko *częściowo* podległe. Wojska liniowe, skupione w Okręgach Wojskowych Pomorskim i Śląskim, były w rzeczywistości w gestii Dowódcy Naczelnego Układu Warszawskiego, radzieckiego marszałka Wiktora Kulikowa, a na codzień jego stałego Przedstawiciela w PRL gen. armii Afanasija Szczegłowa (jego sztab w 1981 r. liczył podobno ok. 500 radzieckich oficerów). Jedynie wojska w Warszawskim Okręgu Wojskowym, skadrowane i nieliczne oraz Terytorialnej Obrony Kraju, były w gestii Jaruzelskiego. Tak na dobrą sprawę więc, Jaruzelski *nie miał* całości sił Ludowego Wojska Polskiego pod swoimi rozkazami.

Co gorsza, LWP, choć utrzymanie jego kosztowało krocie, było *dalekie* od nowoczesnej armii. Samodzielnie nie byłoby w stanie przeprowadzić *żadnej* wojny, a i jego wspierająca rola Armii Radzieckiej na wypadek wojny stała pod znakiem zapytania. Pozbawione broni nuklearnej, LWP było mięsem armatnim, a dowództwo radzieckie najprawdopodobniej w ogóle nie zamierzało go użyć na europejskim teatrze wojennym, gdyby doszło na nim do wojny. Z tego co już dawniej było wiadomo (a dziś wiadomo więcej na ten temat), ewentualna III wojna światowa, od początku nuklearna, rozegrałaby się głównie pomiędzy USA a ZSRR. Europie, łącznie z Polską, mogło się też dostać przy tej okazji, ale *nie ona* grałaby w tej wojnie pierwsze skrzypce. Moskwa mówiła co innego, ale chyba po to, żeby nieradzieckie armie UW czymś zająć na co dzień. Tak na dobrą sprawę, nie były mu te armie do *niczego* potrzebne. W broni konwencjonalnej nieradzieckie armie UW razem wzięte miały bowiem ledwie 1/20 siły

ogniowej armii radzieckich. Uwzględniając zaś wyposażenie tych ostatnich w broń nuklearną, rozpiętość w sile ognia szła w *miliony* razy!

A zatem w sytuacji, kiedy rozwój wypadków w Polsce poszedł za daleko (albo właśnie poszedł jak miał pójść), Moskwie *mogło* być na rękę wywołanie wojny polsko-polskiej. Wojny takiej dotąd w historii Polski nie było, więc dlaczego nie można jej było spróbować? Każda armia powinna mieć jakiś doświadczenie bojowe. Radziecka już je zdobywała w Afganistanie, a dla polskiej też należało coś wymyśleć. Niech więc „Polaczki” skoczą sobie do gardeł! Specjalnie nie nawojują się, ale lepsze to niż nic! Położą przy tym na lata swój rozwój gospodarczy, którym do niedawna tak się szczycili, zadzierając nawet nosa w odniesieniu do ZSRR. A więc niech pokażą co wart jest ich „cud gospodarczy”!

Nie jest też wykluczone, że już wtedy Moskwa miała bardziej dalekosiężne plany przemeblowania Europy, ze zjednoczeniem Niemiec na czele. W takim przypadku zaś *osłabienie* Polski mogło być jej na rękę.

I żeby wreszcie zamknąć wyliczanie motywów, które popchnęły mnie do zerwania z PRL, nie mogę pominąć jednego z najważniejszych. Wtedy, od drugiej połowy lat 1970-ch zaczynając, odnosiłem nieodparte wrażenie, że ZSRR jakby szykował się do awantury wojennej, jeśli nie ogólnoświatowej, to przynajmniej regionalnej. Było to o tyle dziwne, że po spotkaniu helsińskim Wschód-Zachód w sierpniu 1975 r. wydawało się, że nadeszła wreszcie era *prawdziwego* odprężenia pomiędzy obu stronami. Oba supermocarstwa osiągnęły tzw. parytet nuklearny, wobec czego wojna pomiędzy nimi była coraz mniej zachęcająca i tym samym realna. Perspektywa wzajemnego zmiecenia się obu supermocarstw z powierzchni ziemi nie wydawała się już *żadną* rozsądną opcją i czas było zabrać się przez nie do rzeczowej współpracy.

W praktyce, niestety, niezupełnie tak to wyglądało. ZSRR zaczął próbować poszerzać swoją strefę wpływów w Trzecim Świecie, nie cofając się nawet przed użyciem w tym celu siły swoich pośredników (jak na przykład Kubańczyków). Dodatkowo zdobył się jeszcze na krok, którego sens nawet dzisiaj *nie jest* całkiem zrozumiały. Konkretnie mówiąc, w swojej europejskiej oraz azjatyckiej części zaczął raptem w szybkim tempie, od 1976 r. poczynając,

rozmieszczać nieznane dotąd typy rakiet pojazdowych, RSD-10, w NATO nazywanych SS-20. Każdy pojazd miał po trzy rakiety, których zasięg oceniano na 5,5 tys. km. Co się tyczy Europy Zachodniej, to rakiety te, wystrzeliwane nawet z Uralu, mogły ją razić w każdym zakątku. Niby ZSRR chodziło tu o zastąpienie przestarzałych już rakiet R-12 i R-14, w NATO zwanych SS-4 i SS-5, ale było to bzdurą. Europa Zachodnia, poza paroma francuskimi rakietami, tzw. eurorakiet nie miała i gdyby ZSRR nie zaczął zastępować SS-4 i SS-5 nowoczesnymi SS-20, to broń tego rodzaju miała szanse zniknięcia z kontynentu europejskiego. ZSRR jednakże uparł się, że SS-20 będzie rozmieszczał nadal, a w rezultacie tego, w październiku 1977 r., kanclerz RFN Helmut Schmidt narobił szumu, domagając się od USA zainstalowania w Europie Zachodniej ekwiwalentnej broni.

Ni stąd ni zowąd więc, pohelsińskie odprężenie w Europie zaczęło zamieniać się w nowe i bardzo groźne w skutkach napięcie. Wyglądało bowiem na to, że ZSRR albo zaczął szykować się do ataku na Europę Zachodnią, skoro wojna z USA była zbyt dużym dla niego ryzykiem, albo chciał ją wyjąć spod wpływów USA. Sprawa była tym groźniejsza, że propozycje Schmidta, żeby ZSRR i USA zrezygnowały z posiadania kiedykolwiek eurorakiet na Starym Kontynencie, nie znajdowały echa w Moskwie. W rezultacie tego, 12 grudnia 1979 r., NATO podjęło decyzję rozmieszczenia w czterech swoich europejskich krajach członkowskich eurorakiet. Nie tak zaraz, gdyż Moskwie zostawiono jeszcze furtkę do rokowań po myśli propozycji Schmidta, ale tym niemniej napięcie na linii Wschód-Zachód po tej decyzji wzrosło niepomiernie. Co gorsza, 27 grudnia 1979 r., wkrótce po decyzji NATO, ZSRR najechał zbrojnie na Afganistan, krok przezeń *nie praktykowany* już od dziesiątków lat.

Oba te wydarzenia - tak wtedy rozumowałem - były jakby zapowiedzią, że ZSRR *nie wykluczał* sprowokowania III wojny światowej. Nic bowiem innego nie wydawało się tłumaczyć jego raptem otwarcie demonstrowanej wojowniczości. W tym kontekście patrzyłem też na rozwój sytuacji w Polsce. Może - rozumowałem - chcąc rozpocząć działania agresywne w Europie, które przez jakiś czas mogły nie przerosnąć w wojnę pomiędzy ZSRR a USA, Moskwa szukała pretekstu dla podciągnięcia swoich wojsk bliżej przyszłego teatru wojennego. Interwencja radziecka w Polsce, mogła teoretycznie służyć temu celowi. Mógł mu też służyć

stan wojenny, który uspokoiłby kraj i przygotował go do masowego tranzytu armii radzieckich przez jego terytorium.

Jakkolwiek z tym wszystkim nie było, stało się dla mnie jasne, że Polacy o niczym nie będą decydować, a ci w rodzaju Jaruzelskiego uczynią wszystko, co im Moskwa rozkaże. I w takim kraju *nie widziałem* już dla siebie miejsca. Do Zachodu specjalną sympatią nie pałałem, gdyż był on dla mnie dalekim od ideału, ale w danej chwili wydawał mi się on o wiele bardziej rozsądny i o normalnych ludzkich odruchach, odwrotnie niż ZSRR, który jakby stawał się *nieobliczalny* i tym samym groźny dla pokoju światowego.

Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że ewentualny wybuch wojny światowej może być tak samo tragiczny w skutkach dla mnie i mojej rodziny gdziekolwiek bym się nie znajdował. Chciałem mieć jednak czyste sumienie i opowiedzieć się za tymi, którzy jej nie rozpętywali.

A konsekwencje tego przedstawiłem powyżej.

P. S. - W dniu 1 kwietnia 2006 r. otrzymałem list od Michała i Lusi Sadykiewiczów, mieszkających na stałe w Londynie i Warszawie. Michała, ongiś w PRL dowódcę dywizji w stopniu pułkownika, oficera I Armii WP, który przeszedł szlak bojowy od Lenino do Łaby, poznałem przy okazji jednej z imprez wkrótce po przybyciu do USA. Występował wtedy jako konsultant CBS. A ponieważ znałem jego nazwisko z prasy polonijnej, więc szybko nawiązaliśmy przyjazne więzy. Michał po Marcu 1968 r., wyrzucony z wojska, wyjechał do Izraela, ale tam nie mógł żyć i z żoną Lusią osiedlili się w Londynie, gdzie blisko współpracowali z miejscową Polonią.

W każdym razie, z Sadykiewiczami zaprzyjaźniliśmy, choć raczej na odległość i korespondencyjnie (ostatni raz widzieliśmy się osiemnaście lat temu).

Michał, co najważniejsze, zna bardzo dobrze Jaruzelskiego i kiedy jest w Warszawie odwiedza go. I raz, widząc się z nim marcu br., przysłał mi jego wywiad, udzielony 12 marca tygodnikowi „Przegląd”, zatytułowany „Gdy myślę Gorbaczow”, w którym m. in. podał, że 13 kwietnia 1989 r. Gorbaczow wręczył mu dokumentację ze zbrodni katyńskiej. Natychmiast napisałem do Michała, że Jaruzelskiemu coś się pomyliło, gdyż wydarzenie miało miejsce 13

Zdzisław M. Rurarz
[Niewydane pamiętniki]
Rozdział VIII (grudzień 2005 r.)

kwietnia 1990 r. I oto co Michał mi napisał we wspomnianym liście, otrzymanym 1 kwietnia br.

*- Co do Jaruzelskiego, to od razu przyznał Tobie, Dzikku, rację, gdy chodzi o datę 13 kwietnia 1990 r. **Prosił Cię pozdrowić, co niniejszym czynię**”.*

No cóż, czas robi swoje...

24 grudnia 2005 r.

Dziś, w sobotni wieczór, jak to czynimy od lat, zebraliśmy się w szóstkę w naszym mieszkaniu, żeby wspólnie spędzić wieczór wigilijny. Wieczór, jak zawsze, minął nam niezwykle przyjemnie i szkoda tylko, że tak szybko.

Wigilia w USA, to dla nas dzień szczególny, a ściślej mówiąc dla Niuni, Ewy i mnie.

Dokładnie bowiem w dzień wigilijny 1981 r. przybyliśmy w trójkę przed dwudziestu czterema laty do USA. Nie sposób więc było, żebym nie cofnął się myślami do tamtego dnia.

Otóż - jak to już wspominałem w poprzednim rozdziale - pierwszą noc po naszej ucieczce przespaliliśmy w mieszkaniu Raya. Budząc się następnego dnia rano, a był to dzień wigilijny, zrobiło nam się smutno, że tak właśnie przyszło nam go zaczynać. Przede wszystkim bez choinki...

No cóż, trudno. Na stole zaraz pojawiło się śniadanie, w czasie którego Ray powiedział nam, że dziś po południu odlecimy do USA. Dodał też, że jeszcze przedtem chciałaby ze mną porozmawiać pani Shiraishi, referentka do spraw polskich w japońskim ministerstwie spraw zagranicznych, na co chętnie przystałem. Znałem ją bowiem dobrze i bardzo ceniłem za jej dogłębną znajomość spraw polskich (studiowała kiedyś w Warszawie i niemal biegle mówiła po polsku). Jakoż wkrótce zjawiała się w towarzystwie nieznanego mi Japończyka. Wyglądała na nieco zaskoczona moją decyzją, ale kiedy usłyszała, dlaczego na nią zdobyłem się, wydawała się być uspokojona. Niunię zaś poprosiła o przyjęcie broszki z białego złota z perełkami, daru ministra spraw zagranicznych Masayoshi Ito.

Czas do obiadu minął nam szybko, a po obiedzie zaczęliśmy się szykować do jazdy na lotnisko Narita, skąd mieliśmy odlecieć do USA.

Wyjazd na lotnisko, w kilka samochodów, kluczących po wąskich ulicach dla

ewentualnego zmylenia dziennikarzy, którzy podobno oblegali ambasadę USA i lotnisko, trwał dość długo. Kiedy przybyliśmy na miejsce, liczni i wyżsi ode mnie Amerykanie otoczyli mnie, żeby dziennikarze nie mogli mnie widzieć (coś niecoś widzieli jednak i potem mogłem to zobaczyć w telewizji). Do samolotu znów nas podwieziono samochodami z ambasady USA, ale bez dyplomatycznych tablic, a zaraz potem wprowadzono naszą trójkę do jumbo Boeinga amerykańskiej linii Northwest. Serdecznie powitał nas kapitan, usadzono nas w fotelach I klasy, mnie z Niunią osobno, a Ewę, niedaleko od nas, z młodym funkcjonariuszem ambasady USA, który miał nam w drodze towarzyszyć aż do Waszyngtonu. Zapadał już wieczór, samolot wzbił się w powietrze... Do Seattle, po całonocnym locie, mieliśmy przylecieć rano następnego dnia, ale również w Wigilię, a nawet ze względu na różnicę czasu o kilka godzin wcześniej, niż wylecieliśmy z Tokio.

A więc zaczynamy nowe życie... Po kolacji, na ekranie w przodzie samolotu puszczoneo świetny film ze znanym komikiem Richardem Pryorem (zmarłym kilkanaście dni temu). Mnie z Niunią specjalnie do śmiechu nie było, ale za to Ewa doskonale bawiła się. Trochę przespałem się w czasie lotu (ale nie Niunia). Zaczęło dzień i za chwilę wylądowaliśmy w Seattle. Zaraz zabrano nas na salę dla VIP-ów, a mnie do telefonu. W słuchawce słyszę głos gubernatora stanu Waszyngton Johna Spellmana, serdecznie witającego mnie i rodzinę na ziemi amerykańskiej. Wkrótce znów telefon. Tym razem od znanego mi od lat Johna Davisa, dyrektora Wydziału Europy Wschodniej w departamencie stanu (późniejszego ambasadora w PRL), który też serdecznie powitał mnie i rodzinę na ziemi amerykańskiej.

Z Seattle, po dwóch godzinach, wylecieliśmy samolotem rejsowym do Waszyngtonu. Ponieważ lecieliśmy pod czas, więc godziny mijały teraz szybko. W samolocie towarzyszyła nam ochrona, ale jak okazało się jakaś nauczycielka, siedząca kilka rzędów za nami, gdzieś musiała widzieć mnie w telewizji, gdyż mnie rozpoznała i koniecznie chciała do mnie podejść. Ochrona jej w tym przeszkadzała, ale ona nie ustępowała. Poprosiłem więc ochronę, żeby pasażerka zbliżyła się do mnie. Ucieszona, poprosiła mnie o napisanie kilku słów na kartce, które chciałaby przeczytać dzieciom w jej klasie. Chętnie to uczyniłem i uradowana powróciła na swoje miejsce, nic jednak nie mówiąc innym współpasażerom z kim rozmawiała.

Wieczorem samolot wylądował w Kansas City, gdzie jak okazało się czekali już na mnie korespondenci z kamerami. Ochrona wobec tego poprosiła mnie, żebym udał się do kabiny pilotów, a korespondentów wpuściła na pokład. Nie widząc mnie wśród pasażerów, korespondenci opuścili samolot (nauczycielka nie powiedziała im gdzie się ukrywałem).

Po paru godzinach wylądowaliśmy wreszcie na dobrze znanym nam z przeszłości lotnisku Dulles International, który wraz ze stołecznym lotniskiem, zwanym teraz Reagan National Airport, obsługuje ruch pasażerski z i do Waszyngtonu. Z samolotu zabrały nas samochody eskorty, klucząc różnymi bocznymi drogami przed wścibskimi korespondentami. Zbliżała się już północ. Mijane domy tonęły w oświetleniu świątecznym, co gwiazdzistej nocy nadawało szczególnego uroku... Wreszcie stajemy przed hotelem w Tysons Corner. Wsiadamy, ochrona prowadzi nas na górę do apartamentu. Włączam natychmiast telewizor, gdy akurat jest północ i jak domyślałem się któryś z kanałów zapewne podaje ostatnie wiadomości. Zgadłem! Spikerka mówi właśnie, że dziś przybyłem wraz z rodziną na Dulles International, ale korespondenci mnie nie widzieli, gdyż spod samolotu zabrał mnie samochód. Widzę za to spotkanie w samolocie nauczycielkę i słyszę jak czyta słowa, które napisałem dla uczniów jej klasy... Za chwilę na ekranie widzę nasz dom w Warszawie, a przed nim pełno wojskowych... Widzę też wnętrza naszego domu... Niesamowite uczucie...

Zmęczeni, ale już odprężeni, idziemy spać... Jesteśmy w USA...